

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

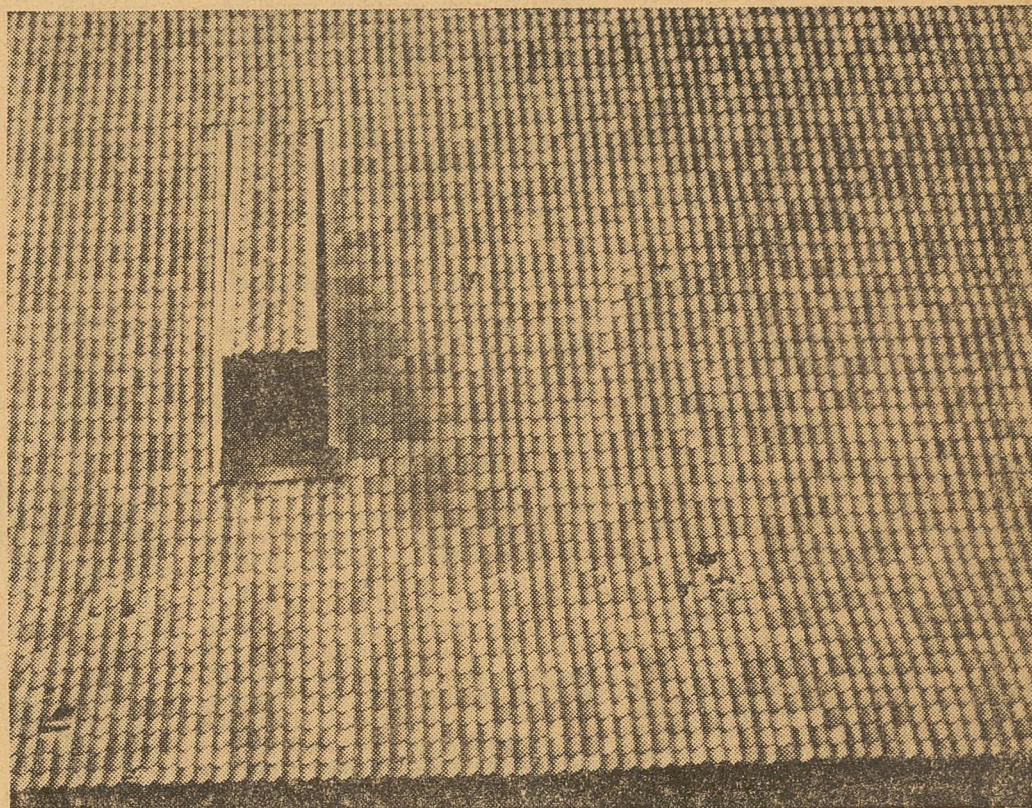
30. VI. 1957 r.

Nr 8

CENA Zł 1.50



PRACA NAGRODZONA



WOJCIECH PLEWIŃSKI

uzyskał brązowy medal

NA I MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE FOTOGRAFII ARTYSTYCZNEJ W WARSZAWIE ZORGANIZOWANEJ PRZEZ ZPAF POD PATRONATEM FIAP-u REPRODUKUJEMY NIEKTÓRE JEGO PRACE (c. d. na str. 6 i 7)



ST. LEM

Polemika literacka w Polsce, to coś jak lewoskrętna muszla ślimaka: szalenie rzadka i poza paru specami nikogo nie obchodzi. Jest rzadka, bo bez dobrej tradycji. Wszczęć spór o wysokie Principia, o Ideały, o Wartości, publikując solidną kobyłę, to tak, jakby wsadzić głowę do pieca i krzyżeć. Najwyżej źle umocowana przez kominarza cegła spadnie na tę krzyżującą głowę. Innego echa nie będzie. Jeżeli się chce uczynić ruch intelektualny, trzeba atakować nie Problemy, lecz Osoby. Ugryziony dotkliwie natychmiast zareaguje. Zaraz poczną latać Bomby przekręcanych cytatów, Kartacze insynuacji, Granaty świętego oburzenia. Zwykle tak jest na świecie, że jak się dwóch kłóci, to obaj mają trochę racji, jeden więcej, a drugi mniej. Wszelako z takim zjawiskiem, jak przyznanie (częściowe) racji przeciwnikowi, nie łatwo się spotkać. To już nie lewoskrętna, ale wprost kwadratowa muszla. Tego nie bywa — a szkoda!

Zdarza się też czasem, że jeden facet, albo i kilku wielce niesprawiedliwie wszędzie na jakiegoś Kolegę po Piórze i tamszą go, kalają, kopią, aż drzazgi lecą. Otóż wówczas nie zdarza się, żeby ktoś nie zainteresowany, postronny, ktoś trzeci zabrał głos w obronie nie tyle osoby nawet, co sponiewieranej racji. A jeśli się to przytrafi, to warto taką rzecz przez długie lata pamiętać, bo to najszlachetniejszy z fenomenów polemicznych: głos trzeciego, silącego się na bezstronność.

Okropną mam ochotę wmieszać się, na prawach takiej Szlachetnej Persony, do sporu, jaki gorzej między dwoma naszymi krytykami, którzy razem liczą już prawie że pięćdziesiąt lat. Mowa oczywiście o szalenie zdolnych Krakusach — Błońskim i Flaszenie.

Kłopot w tym, że nie tylko ważne, kto gada i po co, ale i skąd. Ta moja trybuna ma pewno innych czytelników, niż Nowa Kultura i Przegląd Kulturalny. Będzie to zatem tak, jak bym krzychał z parteru, kiedy się na dachu kłóca. Nikt nie dosiyszy.

W najlepszym razie wymięją, a zainteresowani wezmą może nawet za złe, że lekka, biała broń — felieton — został użyty na takim udeptanym terenie, gdzie tylko najcięższego kalibru artyleria intelektualna, ustawiona na paru kolumnach druku, ma prawo głosu.

Choćby się jednak wszyscy — i Czytelnicy, i Zainteresowani — mieli spryskać w lekceważeniu tego mojego wywodu, nie zrezygnuję zeń, bo mam Szaloną Ochotę się wtrącić. A zatem:

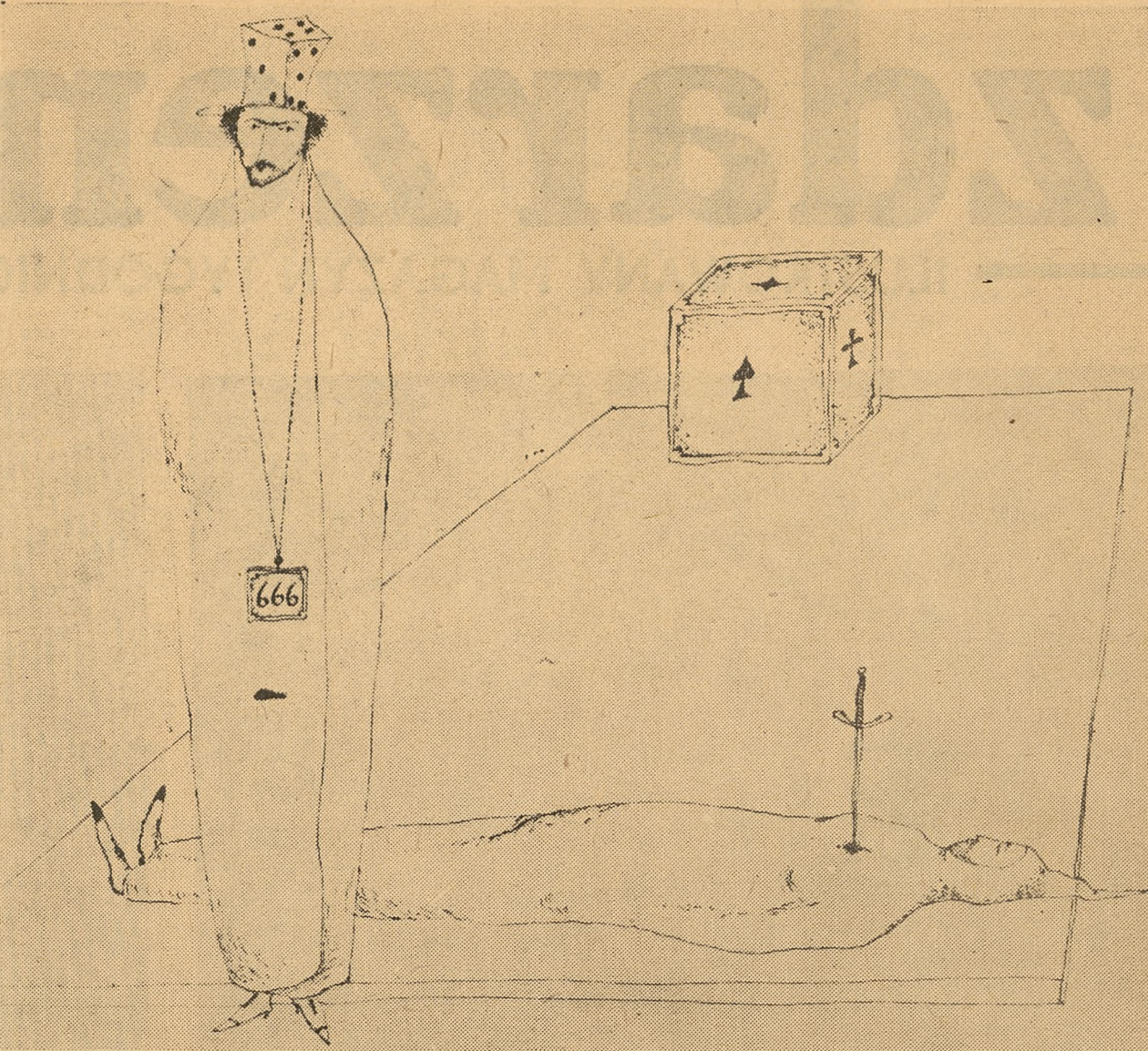
Napisał Błoński o Flaszenie surowo, w żrące odczynniki analityczne. Myśli jego i Koncepcje włożył, potrząsnął i prawie wszystko się Roz-

puściło. Pokazało się, że osadu na dnie retorty jest mało szczypta, a to wszystko inne, co we flaszenowych artykułach tak Miga i Płomienię się, Drzy i Pała, Poi i Uroczy — to jeno draperie, fałdy i zakrętasz takiej mistyfikatorskiej szaty oratorskiej, z gombrowiczowską apreturą. Osądził tedy Flaszen Błoński, że chudo u niego z Koncepcjami Własnymi, że jako krytyk nazbyt lubi wieloznaczność postawy i wykretnie, choć grabne uniki, że jest do góry nogami postawionym pogrobowcem zdanowowskiej teorii literatury, bo wierzy w to, że literatura ma „odzwierciedlać”, podczas gdy ma ona zjawiska Nazwać, Syntetyzować, Tworzyć Wartości i Umysły Kształtować przeżyciem artystycznym, a dalej, że jest Flaszen mało czytany Flaszenem, że łatwo pali głupstwa merytoryczne, i jeszcze całą masę rzeczy, napisał, które zapomniałem.

Flaszen, zamiast skruszyć się, załamać, zgolić brodę i pobiec do Biblioteki Jagiellońskiej, nabił armatę i wystrzelił okropnie — albowiem uczynił rozprawę z Błońskim nie jako z Błońskim, ale jako z pewnym Okazem pewnego Gatunku Amorficznego Intelektualnie, który to ma do siebie, że osobowości swej w dzieła ducha swego nie angażuje, a za to pisuje paszkwile. W ten sposób został Błoński doszczętnie zaklasyfikowany ontologicznie, epistemologicznie i, ma się rozumieć, metodologicznie, albowiem Flaszen może go teraz oglądać — i ogląda — w swym artykule z wysokości Metasystemu, który został stworzony tylko po to, aby Błoński istniał w nim jako pewien Drobiazg, jeden z wielu, jako element zbioru Paszkwilantów-Spylciarzy. Tu chyba Flaszen przeholował. Uczynił bowiem zabieg tak akrobatyczny, że już kosmiczny: najpierw wyparł się tego, że jest krytykiem. Jaki tam ze mnie krytyk! — powiada. Felietonista jestem, publicysta jestem, dywagator, marginesowiec ze mnie. Potem zaś, jak się tak pomniejszył i umalił, właził błyskawicznie na szczyt Metasystemu i z jego wyżyny Błońskiego umikroskopizował. Ale jakże on tego dokonał, skoro sam taki maleńki?

Zarzut, którym Flaszen Błońskiego pogrębał, uprzednio go za rydwanem Metasystemu powłóczywszy, brzmi, iż Błoński specyfiki duchowej przeciwnika nie uszanował. Pewno, że specyfika duchowa — szalenie ważna rzecz. Tylko czy każda? Jeżeli bowiem dobrze zrozumiałem, co Flaszen w obronie swych „Rekolekcji Nowoczesności” napisał, to ten artykuł można było krócej ująć, albowiem strzecha się on w słowach, że nie nie wiadomo. To jest skądinąd bardzo ciekawy problem — czy, jeżeli ktoś mówi, że nie, to czy on mówi coś, czy nie mówi? Mnie się zdaje, że jeżeli nawet mówi coś, to bardzo mało. Jeżeli Flaszen powiada (i Kijowski też zresztą coś podobnego), że próżnia — czy to ma wystarczyć? To już lepiej drukować

FELIETON POLEMICZNY



same tytuły, a pod nimi — białą, białą, do końca białą. Bo niby co jest? Chwiejność, niepewność, wielkie szukanie i błądzenie na gruzach Rozpadłego Labiryntu Kultury i Nauki, na boczu jakiegoś małego remontu remanentów zmarłych szkół i kwilenia ich pogrobowców. No tak. Ale jeżeli Flaszen to tylko te usta natchnione, które głoszą „świadomość własnej bezsily”, jeżeli nie ma „ustalonych poglądów”, do czego się śmieie przyznawa — to jakież w owych zawołaniach kassandrycznych tkwią i żarem palają Treści, jakie Kryteria Różnicujące? Bo jeśli jedynym kryterium odróżniającym Flaszena od wszystkich innych, nieflaszenowych bytów, jest świadomość zagubienia nici Ariadny, gordyjskiego splątania, Apokalipsy Niemożności, to w najlepszym razie, poprzez Męskie Skupienie i Zogni-

skowanie zrodzi się z tego świadomość Nicości. Może jednak podobna treść nie jest taką Wartością, ani Bogactwem Sądów, ani takim ich Masywem Rozległym, który dawałby prawo mianowania tej, na gruzach wegetującej, doskonale rozchwianej niewiedzy, tego Bezdroża Objawionego — poszukiwaniem własnej autentyczności? Pewno, że „nie” jest szalenie autentyczne, ale jeżeli wciąż nic i tylko nic, to najlepiej przestać w ogóle pisać artykuły (tytuły też) i pójść na wódkę. To przynajmniej będzie coś. A może jednak warto by przysiąść trochę fałdów i nie ograniczyć się do tej Nicości Rozchwianej, samej siebie Odważnie Świadomej, polskiej sieroty wiecznie zapóźnionej — co? Może poznać to, co ten i ów w wypaczonym międzyczasie wymyślił, a choćby to i filozof był trudny, kto wie, czy się wte-

dy ta próżnia trochę nie zaludni? Może się i autentyczność postawy z nicości w jakiś byt, a na początek chociaż bycik skromny, postulowany, przechilił? Może nie trzeba zadowalać się Osiągnięciami. Blizny w bokach ze schematyzmem odniesione przed Zwierciadłem oglądać, w własny pejzaż skrętów i zwojów mózgowych patrzeć a patrzeć, choć piękny — ale nowe uprawy, działy i siewy może warto w nim czynić? A może, może jest tak, że Błoński ma 30 proc. racji, Flaszen 30 proc., a reszta pójdzie z publicznego przetargu — dobrze? Jeżeli się tak dogadamy, to na placu boju pozostanie Flaszen mniej triumfujący, ale bardziej z siebie niezadowolony, a, jak mawiał Mann za Czechowem — wieczne niezadowolenie z siebie jest znamię talentu. Z siebie, nie z innych. Bo jeśli tylko z innych — to już całkiem inna sprawa.

MAKSYPMA

„Ludzie są bardziej niezadowoleni wtedy, kiedy rozpoczynają marsz naprzód i pragną, by był on jeszcze szybszy, niż wtedy, kiedy znajdują się na samym dnie”. (TRIBUNE)

CURIOSUM

„Wskazałem wyżej, że w latach 200—300 po narodzeniu Chrystusa powstała na Wschodzie próżnia i że dzisiaj znów istnieje groźba ponownego powstania takiej próżni. Człowiek niemiecki, człowiek zachodnio-europejski odchodził z tych ziem a Słowianin napiera na jego miejsce. Na Śląsku osiedlili się już nawet Chińczycy”. (DR WERNER BRAND W BIULETYNIE INFORMACYJNYM ZIOMKOSTWA POMORZE)

SZCZEROŚĆ

„Z jednej strony twierdzimy, że gotowi jesteśmy zaprzestać dokonywania prób atomowo-wodorowych pod warunkiem uzgodnienia odpowiednich metod gwarantujących przestrzeganie porozumienia. Z drugiej strony zaś wyrażamy pogląd, że nie przerwiemy doświadczalnych eksplozji zanim nie będzie pewności, że broń nuklearna nie zostanie użyta w przyszłej wojnie. A ponieważ tej pewności nigdy się nie uzyska chociażby ze względu na fakt istnienia już broni nuklearnej — tego rodzaju stanowisko równoznac-

zne jest z odrzuceniem wszelkiej myśli o przerwaniu czy zaprzestaniu prób atomowo-wodorowych”. (WALTER LIPPMAN W N. Y. HERALD TRIBUNE)

WYZNANIE

„Och chwili rewolucji w Polsce, politycy niemieccy (zachodni — red.) stwierdzali, że wierzą, iż można Polsce pomóc przejść do następnego etapu, zmierzającego do ustanowienia w Polsce całkowitej swobody demokratycznej i że później można będzie nakłonić rząd polski do rewizji swych poglądów na temat granicy na Odrze i Nysie. Taka zmiana poglądów rządu polskiego byłaby równoznaczna z uznaniem „śluszných żądań terytorialnych Niemiec”. (MANCHESTER GUARDIAN)

IRONIA

„Najbardziej uderzającym objawem nowego porządku jest fakt, że rząd polski udziela obecnie swym obywatelom pozwolenia na wyjazd za granicę. Tymczasem jak na ironię, ludzie, którzy otrzymali pozwolenie na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, lub. W. Brytanii czekają od miesięcy na wizy. Polacy są tym ogromnie zdziwieni. Od lat — stwierdzają oni — wy, ludzie Zachodu, mówicie nam, że wasz tak

zwany wolny świat uznaje prawo ludzi do poruszania się poprzez granice, zamykane przez niegodziwych komunistów. Obecnie niegodziwi komuniści udzielają zezwoleń na wyjazd, natomiast wolny świat nie daje wiz”. (POSEŁ DO IZBY GMIN MIKARDO W TRIBUNE)

MIT

„Mit „wielkich Niemiec” fascynuje kurie rzymską od czasów średniowiecza. Dużą rolę odgrywa tu również osobiste stanowisko papieża. Niemcy zaś uważają, że wszelkie względy okazane kardynałowi Wyszynskiemu wzmocniłyby jego pozycję i tym samym utrudniłyby zmianę granicy na Odrze i Nysie. Z drugiej strony mogłoby to wzmocnić szanse wyborcze socjalistów w NRF. Dlatego „klan niemiecki” zrobił wszystko, by unicestwić wysiłki prymasa polskiego”. (JOURNAL DE GENEVE)

„KOMPLEKSY?”

„U niektórych osób z otoczenia księdza prymasa widać było wyrażenie, że życie pod sowieckim jarzmem” wytwarza pewne kompleksy w psychice ludzkiej. Komuniści są skłonni do robienia z każdego drobiazgu tajemnicy państwowej, wszędzie węższą działalność na szkodę ludowej demokracji. Nie można się więc dziwić, że i księża przybyli

z kraju, nawet w Rzymie, nawet w sprawach kościelnych myśleli czasem po „ludowemu”. Każdy szczegół wizyty księdza prymasa zwłaszcza w pierwszych dniach usiłovali otoczyć nieprzeniknącą tajemnicą. Stawali się także nie dopuszczając do księdza kardynała elementów „politycznie podejrzanych”. Uważali, że ksiądz prymas może stykać się z komunistycznymi faryzeuszami, bo to też są „dzieci boże”, ale nie wolno księdzu prymasowi obcować z „celnikami” emigracyjnymi. Jeśli ktoś ma nieszczerze być prezesem jakiejś niepodległościowej organizacji na uchodźstwie lub współpracować z jakąś instytucją amerykańską, to powstawały poważne wątpliwości, czy taki człowiek jest „dzieckiem bożym”. Słyszałem, że jakimś księdzu polskiemu odmówiono audiencji u księdza prymasa, gdyż ów kapłan jest „splamiony” wygłaszaniem religijnych pogadek w radiostacji amerykańskiej”. (Emigracyjna POLSKA WIERNIA).

OJCIEC I SYN

„W szanghajskim dzienniku „Wen Huipao” ukazał się artykuł syna Czang Po-czuna, który stwierdza, iż ojciec jego wystąpił ostatnio z krytyką partii komunistycznej, ponieważ „reakcyjne myślenie jest głęboko zakorzenione w jego działalności i ambicjach politycznych...”. Jest on moim ojcem, jeśli jednak nie przestanie on opowiadać się za drogą kapitalistyczną i nie przyzna wyrażnych swych błędów, zerwę z nim stosunki rodzinne”. (REUTER)

ZDIERZENIA



Forsa z ręki do ręki

ZDARZENIA TYGODNIA

MAO TSE-TUNG O SPRZECZNOŚCIACH

Mao Tse-Tung jest niewątpliwie najwybitniejszym teoretykiem marksistowskim doby obecnej. Czytelnicy prasy codziennej mieli w ostatnim tygodniu okazję zapoznać się z jego niezwykle ciekawym referatem „O właściwym traktowaniu sprzeczności w łonie ludu”.

„Wielu ludzi — pisze m. in. Mao Tse-tung — odmawia uznania faktu, że w społeczeństwie socjalistycznym, wciąż jeszcze istnieją sprzeczności i — w konsekwencji, w obliczu sprzeczności społecznych stają się nieśmiały i beznadziejni. Nie rozumieją oni, że społeczeństwo socjalistyczne, staje się coraz bardziej zjednoczone i skonsolidowane, właśnie poprzez nieustanny proces właściwego ustosunkowywania się do sprzeczności i ich rozwiązywania... W szeregach naszego ludu demokracja wiąże się z centralizmem, a wolność z dyscypliną. Są to dwa aspekty jednej całości, a razem sprzeczne i zgodne ze sobą nie powinniśmy jednostronnie podkreślać jednego z nich, a negować drugiego... kwestia, co jest słuszne, a co niesłuszne w dziedzinie sztuki i nauki powinna być rozstrzygana w drodze swobodnej dyskusji w środowisku artystycznym i naukowym, w procesie twórczym”.

CO NOWEGO WYPRODUKUJEMY W III KWARTALE?

Zakłady Przemysłu Dżewiarskiego im. Błażewskiego w Łodzi przewidują wypuszczenie na rynek kilkunastu nowych wzorów bielizny damskiej: steelonowej i jedwabnej.

Warszawskie Zakłady Foto-Optyczne zamierzają wypuścić w tym okresie dodatkowo około 900 sztuk nowych aparatów fotograficznych „Feniks I” oraz uruchomić produkcję następnego modelu o wysokiej klasie „Feniks 2”.

Zjednoczone Zakłady Rowerowe w Bydgoszczy wyprodukują nowy model sportowego roweru damskiego.

Polskie Zakłady Optyczne w Warszawie oddadzą do sprzedaży mikroskop kieszonkowy powiększający 16 i 32 razy a także lornetkę harcerską o jednym okularze.

Warszawska Fabryka Motocykli da około 9.000 motocykli MO-6.

BERLIŃSKA WIZYTA

20 czerwca partyjno-rządowe delegacje Polski i NRD ukończyły swe trzydniowe obrady.

Wspólne oświadczenie PZPR i SED głosi m. in.: „Obie partie uczynią wszystko, aby nie dopuścić do powstania w Europie ogniska nowej wojny, aby doprowadzić do powstania skutecznego systemu zbiorowego bezpieczeństwa w Europie... Obie partie uważają umocnienie państw socjalistycznych, rozwijanie współdziałania wszystkich sił socjalizmu, pogłębianie solidarności wszystkich sił pokojowych — za podstawowy warunek ostatecznego zwycięstwa sprawy trwałego pokoju”.

ju... We wszystkich krajach wspólne są podstawowe zasady budownictwa socjalistycznego... Zasady te winny być stosowane w sposób twórczy i uwzględniający historyczne ukształtowanie w każdym kraju warunki i właściwości narodowe... Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności wita wielkie osiągnięcia polskich mas pracujących na ich drodze do socjalizmu. Wysoko ceni ona skuteczne wysiłki PZPR w kierunku rozwiązania problemów wyłaniających się w toku budownictwa socjalistycznego”.

Wspólne oświadczenie rządów PRL i NRD głosi solidarność wspólnych wysiłków przeciwko zakusom imperializmu na oba kraje, solidarność kroków zmierzających przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich, przeciwko rewizjonistycznym tendencjom w stosunku do granicy na Odrze i Nysie, opowiada się za odprężeniem międzynarodowym, powszechnym rozbrojeniem, za pokojowym zjednoczeniem Niemiec, które jest sprawą samych Niemców, za zorganizowaniem ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego.

WIĘCEJ WĘGLA = WIĘCEJ DEWIZ

Górnicy Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego jako pierwsi w kraju wykonali półroczny plan wydobywania. Do końca czerwca postanowili wydobyć dodatkowo ponad 256.000 ton węgla.

448 MLN RUBLI

wyniosła łączna suma obrotów w roku bieżącym na Targach Poznańskich. Eksport zamknął się sumą blisko 219 mln rubli, import 229 mln rubli. Towarów inwestycyjnych zakupiliśmy na sumę 81 mln rubli, zaś towarów konsumpcyjnych na sumę 148 mln rubli. Spośród polskich central handlowych największe obroty uzyskał „Metaleksport”. W transakcjach z krajami kapitalistycznymi na pierwsze miejsce wysunęła się NRF. (29 proc. naszych obrotów).

ZOBACZMY RADZIECKIEGO SZTUCZNEGO SATELITĘ ZIEMI

Prof. Marcel Nicollet — sekretarz generalny Komitetu Specjalnego III Międzynarodowego Roku Geofizycznego zakomunikował, że naukowcy radzieccy wypuszczają 125 rakiet i sztucznych satelitów. Radzieckiego sztucznego satelitę ziemi można będzie obserwować we wszystkich miejscach kuli ziemskiej, z wyjątkiem centralnych obszarów Arktyki i Antarktyki, a więc również w Polsce.

SZCZEPIONKA PRZECIW CHOROBIE HEINE-MEDINA

Państwowy Zakład Higieny w Warszawie wyprodukował pierwszą serię polskiej szczepionki przeciwko Heine Medine, opartej na metodzie amerykańskiego naukowca dra Salaka.

„WPADŁEM”

W styczniu — a więc pół roku temu, wczesnym ranem, kilku funkcjonariuszy MO weszło do pokoju sublokatorskiego na Osiedlu Oficerskim, legitymując się nakazem rewizji. Gospodarz wyraził zdziwienie, lecz zachował całkowity spokój. Stojąc nieco na uboczu przyglądał się poszukiwaniom dokładnym, a bezskutecznym.

Wnętrze, chociaż niezbyt obszerne, pozwalało się domyślać, że zamieszkuje tu człowiek więcej niż załóżny. Bardzo kosztowne meble, kolekcja wartościowych obrazów, aż trzy doskonałe radiodiodbiorniki. Żaden z tych przedmiotów nie zawierał jednak niczego, co zatrzymałoby uwagę rewidujących. Gospodarz wciąż patrzył w milczeniu, wzrokiem bez wyrazu.

Któryś z milicjantów zbliżył się do biblioteki, zaczął po kolei wyjmować książki i systematycznie kartkować ich strony. W pewnej chwili na ziemię wypadł niewielki zwitek papieru. Wtedy gospodarz powiedział jedno tylko słowo:

— Wpadłem...

NIESZCZĘŚCIE I ZYSK

Sklep komisowy nr 202 przy ul. Brackiej przyjmuje na sprzedaż artykuły techniczne, a więc maszyny do pisania i liczenia, lodówki, elektroluksy. Kierownikiem sklepu był do niedawna Stefan Machynia, sprzedawcą — Edward Burghardt.

Matka pani G. zachorowała. Stan jest ciężki, potrzebne najdroższe lekarstwa — a więc potrzebne i pieniądze. Jedyny „komercyjny” przedmiot w domu, to maszyna do pisania.

KOMISÓW SCHODY KUCHENNE

nia. Właścicielka zanoszą ją na Bracką. Prosi, aby personel sam wyceenił, doradził; ona się na tym nie zna. Odpowiedź brzmi:

— W najlepszym wypadku dostanie pani 5.000 złotych.

Po kilku dniach G. zostaje poinformowana, że zbyt wysoka cena odstrasza klientów. Stan chorej pogorszył się, zrozpaczona G. błaga kierownika, aby zgodził się na sumę zaofiarowaną przez pierwszego z rzędu reflektanta. Wówczas z głębi sklepu wychodzi mężczyzna, który zaofiarowuje natychmiastowe kupno i wypłatę gotówki bez pośrednictwa kwitów, książką komisowej, bez nużących formalności.

G. dowiódł się znacznie później, że już w tym samym dniu jej maszyna figurowała w książce komisowej i na półce sklepu — jako własność pani Stefani J. Cena — 14.000 zł.

LUDZIE, KTÓRYCH NIE BYŁO

Sprzedają rzeczy stanowiących własność personelu jest w danym komisie wzbudzenia. Tak mówią przepisy. Dlatego ani w książce komisowej, ani na żadnym z pokwitowań nie figuruje nazwisko Machyni czy Burghardta. Natomiast mimo długotrwałych poszukiwań, milicji nie udało się odnaleźć wielu spośród komitentów, których personalia i adresy z nienaganą skrupulatnością, dzień po dniu odnotowywał rejestr dokonywanych transakcji. Nikt ich nie zna w Krakowie, nikt o nich nie słyszał. Ci ludzie po prostu nie istnieją. Rzeczywiście właściciele przedmiotów — zanim jeszcze stały się własnością Burghardta i Machyni — w najlepszej wierze przyjmowały gotówkę wypłacaną na poczekaniu, traktując w swej naiwności sprawę, jako dogodną dla siebie uproszczenie procedury. Tym sposobem, „z ręki do ręki”, sprzedawała elektryczne odkurzacze pani T., biorąc za każdy po 800 zł. Te same od-



Alem upadł...

kurzacze, wpisane na fikcyjnego komitenta — względnie na konto nie wiedzącej o niczym ekskwalifikacji, której podpis fałszowano — można było później nabywać w komisie przy Brackiej za 1.200 zł...

ZAGADKOWE TEMPO

Jednym z sygnałów umacniających podejrzenie, że komis nr 202 jest parawanem wielkiej przestępczej afery, były pewne adnotacje w książce komisowej. Wynikało z nich, że niekiedy klienci, oddając przedmiot do sprzedaży, wycofywali go tego samego dnia. Dlaczego? Skąd ta błyskawiczna zmiana decyzji?

Odpowiedź miała się znaleźć dopiero w toku dochodzenia. Otóż wielokrotnie w obecności komitenta — natychmiast po zarejestrowaniu towaru, odnotowywano jego wycofanie, po czym zainteresowany otrzymywał należność pomniejszoną o 10 proc. tzw. prowizji. I to się opłacało; np. za maszynę do szycia marki „Minerwa”, której fikcyjny zwrot uwieczniła dokumentacja, właściciel, pan S. otrzymał 6.000 zł, do kieszeni kierownika — powędrowało 600 zł. Był to oczywiście tylko dowód „wstępny”, gdyż maszyna wkrótce znalazła kolejnego właściciela.

Jednym słowem interesik prosperował, aż miło. W lipcu 1955 r. wspólnicy nabyli maszynę do pisania za kwotę 1.900 zł. Szybko znalazł się reflektant, spóźnieni „Zgoda” w Przeworsku. Tym razem etykieta z ceną mówiła już o 3.400 zł...

I tak szło dzień po dniu. Zyski bałojskie, a ryzyko... co, reżyseria była znakomita, rzadkie inspekcje PIH-u nie dostarczały powodów do większego zdenerwowania. Nawet w krytycznym momencie rewizji Stefan Machynia zachował stoicki spokój i skapitulował dopiero, kiedy ręka funkcjonariusza ujęła zwitek fikcyjnych pokwitowań. Przysięgnięciu aferzysty dało podówczas wyraz owe krótkie, zrezygnowane słowo — Wpadłem...

300 ŚWIADKÓW

Przy Machyni znaleziono 50.000 zł gotówką, przy Burghardcie — 25.000. Początkowa depresja nie trwała długo: obaj energicznie oświadczyli już we wstępnym wyjaśnieniu, że są niewinni, nie poczuwają się absolutnie do niczego.

Oficer prowadzący dochodzenie wysłuchał 300 świadków, zanim przekazał sprawę prokuraturze. Śledztwo trwa i niesposób jeszcze operować dokładnymi sumami strat, jakie poniosło skutkiem tej afery MHD i poszczególni krakowianie. Można tylko powiedzieć, że są to straty olbrzymie.

Zaczęło się przy Brackiej — ale macki komisowego kombinatorstwa sięgały znacznie dalej. Komis nr 202 był tym, który dał pierwszy ślad. Dokąd prowadziły następne? O tym innym razem...

Wkrótce powrócimy do zagadnienia sklepów komisowych w znacznym już szerszym aspekcie, do spraw, które na terenie całej Polski umożliwiają powstawanie takich właśnie afer.

ANNA STROŃSKA

zdjęcia ANDRZEJ PIOTROWSKI

OKIENKO AKTUALNYCH PROBLEMÓW

Alboż to nas nie stać?

Trzeba przyznać, że to w pierwszej chwili robi imponujące wrażenie. Mamy ponoć tyle dróg w naszym województwie, że gdyby je wszystkie połączyć w jedną to powstałaby z tego droga równa odległości Krakowa od Melbourne w Australii od którego dzieli nasze miasto nie byle jaka ilość kilometrów, bo aż 13 tysięcy 308. Potężna byłaby droga, co?

Tylko niewiadomo, czy choć jeden nasz samochód zdołał by ją pokonać, gdyby owa droga miała odziedziczyć po drogach krakowskich, także i ich jakość. Jakość, na którą posypało się już tyle przekleństw naszych szefów, że ułożone w wiązanke i nagrane na taśmę magnetofonu zużyłyby prawdopodobnie tyle kilometrów tej taśmy, że nawet równik można by nią opasać. Jechać bowiem po takiej drodze z Krakowa do Melbourne, z której 70 proc. to piachy i kamienie, a tylko 30 proc. to tzw. droga z prawdziwego zdarzenia, choć bynajmniej jeszcze nie pierwszej klasy, to... Prawdopodobnie żaden samochód nie wytrzymał by tu konkurencji z koniem, albo z wielbłądem, a że samochody mimo to, jakoś jeżdżą po tych naszych krakowskich drogach i że przybywa ich z roku na rok po parę tysięcy, to już należy do tzw. specyfiki naszej motoryzacji.

Trudno bowiem nie mówić tu o specyfice, jeśli z jednej strony operuje się takimi cyframi, jak 40 tys. zarejestrowanych pojazdów mechanicznych w województwie i jeśli słyszy się, że od czasów przedwojennych ruch na naszych drogach wzrósł pięciokrotnie, a z drugiej strony konfrontować, to czarnymi cyframi do tyżącymi stanu tych dróg.

Co tu dużo obwijać w bawełnę, stan ten nie tylko nie polepsza się, ale pogarsza z roku na rok. Następuje powolna, ale stopniowa dekapitalizacja tego typu szlaków komunikacyjnych. Na to by utrzymać stan dróg na dotychczasowym poziomie, to znaczy by się nie pogarszał, trzeba by wydawać rocznie na konserwację i budowę dróg 250 milionów złotych. Gdy tymczasem w każdym roku pięćdziesiąt przeznaczymy na ten cel, nie więcej, jak jakieś plus minus 100 milionów złotych.

Skutek? Pojazdy mechaniczne choć ich przybywa zużywają się przedwcześnie. Np. samochód „Star” zamiast przejeżdżać 100 tys. km bez kapitalnego remontu, przejeżdża najwyższe połowę z tego. Krótszy okres eksploatacji wozu, to wiadomo — wyższe koszty, mniejsza opłacalność przewozów samochodowych w porównaniu np. z kolejowymi. Na jednym tylko odcinku drogowym Trzebinia — Olkusz, koszt przewozu tonniarskiej masy towarowej wzrósł w ciągu ostatnich paru lat wskutek pogarszającego się stanu drogi o 3 miliony 600 tysięcy złotych. A w całym województwie o ileż wzrastają te koszty? Szkoda, że nikt nie zajmuje się tą statystyką, że nikt u nas nie potrafi odpowiedzieć ile kosztuje nas przedwcześnie zużycie taboru samochodowego, że nie zbiera danych, które by wskazywały ile przez to drożej wypada nam płacić za wiozę towarów. Nie ulega jednak kwestii, że w skali całego województwa są to roczne cyfry rzędu kilkuset milionów złotych. O ile kosztują nas „postępy” w motoryzacji kraju dokonywane na bazie naszych dróg, a raczej ściślej mówiąc bezdroży. Tak, nie ulega kwestii, ta motoryzacja w naszym wydaniu, to bardzo, bardzo kosztowne przedsięwzięcie. Ale mało to takich kosztownych przedsięwzięć mamy już w swoim dorobku. Alboż to nas nie stać? Wiadomo ma się ten gest, mości panowie.

(BM)

HISTORIE

I NIE

WÓDŹ NAS

NA

POKUSZENIE

W związku z protestem 18 niemieckich fizyków jądrowych przeciwko stosowaniu broni atomowych, zachodnio-niemieckie czasopismo „Der Spiegel” publikuje 14 artykułów, omawiających historię rozwoju badań nad bronią atomową, podając szczegóły mało znane ogółowi ludzi. Z serii tej zamieszczamy obszernie fragmenty.

...Widmo uzbrojonego w broń atomową Hitlera opanowało już w początkach roku 1939 umysły uczonych, którzy emigrowali z Europy. W lutym tego roku tuż po zawarciu paktu monachijskiego Niels Bohr, wielki mistrz zakonu badaczy atomowych i włoski uczonec Enrico Fermi, nagrodzony Nagrodą Nobla, który przed paru miesiącami uciekł z Rzymu Mussoliniego, referowali na posiedzeniu Amerykańskiego Towarzystwa Fizyków na uniwersytecie w Columbii wyniki, jakie osiągnął Otto Hahn w rozpadaniu atomów uranu. Pomiedzy sluchaczami znajdował się również redaktor działu naukowego gazety „New York Times” William Lawrence. Wiele lat później tak pisał o owym posiedzeniu:

„Widziałem ich (Bohra i Fermiego) jak pisali na tablicy dziwne hieroglify, słyszałem jak zastanawiali się nad możliwością reakcji łańcuchowych i wyzwoleniu fantastycznych ilości energii. I kiedy tak słuchałem i obserwowałem, liczyby na tablicy wyzwolili w moim mózgu pewną reakcję łańcuchową. Po zamknięciu posiedzenia rzuciłem się w kierunku Enrico Fermi i Nielsa Bohra.

— Czy to wszystko nie doprowadzi do zbudowania bomby atomowej? — wykrzyknąłem.

Obydwaj laureaci Nobla mieli dość niewyraźne miny. Bohr spoglądał na sufit a Fermi przyglądał mi się trochę dziwnie.

— Teoretycznie jest to możliwe — powiedział Fermi, by przerwać w końcu milczenie — ale sprawa ta jest jeszcze bardzo odległa.

— Jak dalece? — pytałem z uporem

— Może 25, może 50 lat.

— A może Hitler będzie mógł w znacznie krótszym czasie zbudować bombę atomową — odpowiedziałem.

SZILARD, FERMI... I ADMIRAŁ HOOPER

W tym czasie na uniwersytecie Columbia przebywał jako wolny słuchacz węgierski fizyk Leo Szilard, opanowany równie jak Fermi wizją Hitlera z bombą atomową. Szilard był przekonany, że „führer” przy pomocy znanej w świecie niemieckiej skrupulatności i potęgi totalitarnego państwa w krótkim czasie rozwiąże wszystkie problemy związane z konstrukcją broni atomowej. W Fermim znalazł wziętego słuchacza. Włoski fizyk — wprawdzie nie odczuwał w Rzymie żadnego nacisku politycznego, ale ożeniony z Żydówką wolał uciec z Włoch, kiedy we wrześniu 1938 roku ogłoszono tam faszystowską ustawę rasową. Uroczystość wręczenia Nagrody Nobla pozwoliła mu wyjechać z rodziną do Sztokholmu a stąd do New Jersey w pobliżu Nowego Jorku. Jako włoski emigrant zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie go może czekać w wypadku wybuchu wojny, mianowicie internowanie, ponieważ dopiero po pięciu latach pobytu w USA mógł się starać o amerykańskie obywatelstwo. Internowanemu chciał Fermi uniknąć za wszelką cenę. Toteż kiedy Szilard rozwijał przed nim apokaliptyczne wizje i niebezpieczeństwa jakie mogą grozić Europie, ale także i Ameryce, Fermi postanowił dążyć energicznie. Dał się przekonać Szilardowi, aby utrzymywał w tajemnicy

wszystkie swoje badania w obawie, by przy ich publikacji Niemcy nie wpadli na właściwą drogę.

W lutym 1939 roku napisał Szilard list do Joliot, by on również nie ogłaszał publicznie swoich badań. W tym czasie Szilard pożyczył od znajomego nowojorskiego handlowca Liebowitza 2000 dolarów, postarał się o gram uranu, zakupił 500 funtów zwykłego uranu i równocześnie z Fermim przeprowadził doświadczenia, z których wynikało, że przy rozpadzie uranu wyzwala się tyle neutronów, iż wywołanie wybuchowej reakcji łańcuchowej jest zupełnie możliwe. Z wielką troską, Włoch i Węgier udali się do Nielsa Bohra, szukając u niego rady i pomocy. W okresie kiedy Fermi i Szilard przeprowadzali swe doświadczenia Bohr dokonał szeregu obliczeń, z których wynikało, że sprawa technicznej konstrukcji broni atomowej jest jednak jeszcze bardzo odległa. Bohr wykazał, że uran składa się z dwu rodzajów izotopów, z których jeden, nadający się do rozpadu, znajduje się w zwykłym uranie w bardzo minimalnych ilościach (0,7 proc.). Chcąc wywołać wybuchową reakcję łańcuchową, trzeba by zgromadzić duże ilości tego rodzaju uranu, co w obecnych warunkach jest prawie że niemożliwe, a co również pociągnęłoby za sobą olbrzymie koszty. Aby uzyskać parę gramów rozpadowego uranu, trzeba by zbudować olbrzymie fabryki — twierdził Bohr.

Szilard i Fermi nie dają się jednak znieść twierdzeniom Bohra, mając stale na uwadze olbrzymie możliwości, jakimi mógł rozporządzać Hitler. Chcąc być w zgodzie z własnym sumieniem postanowili ostrzec rząd USA. W tym celu Fermi udał się do dziekana Wydziału fizyki uniwersytetu Columbia George'a Pegram'a i przedstawił mu swoje i Szilarda obawy. Pegram wprawdzie nie wierzył w możliwość technicznego wykorzystania reakcji łańcuchowych, ale ceniąc Fermiego napisał list (16 marca 1939) do admirała S. C. Hoopera, szefa Biura Technicznego Wydziału Marynarki w Waszyngtonie. Hooper przyjął Fermiego, który łamaną angielszczyzną starał mu się przedstawić co to jest reakcja łańcuchowa i jakie niebezpieczeństwo może stanowić dla Ameryki.

— To bardzo interesujące — powiedział Hooper — zastanowimy się. Fizycy nigdy już więcej o nim nie słyszeli.

Zniechęcony wyjechał Fermi z amerykańskiej stolicy. W tym samym dniu prasa donosiła o wyjeździe Hitlera do Pragi. Dla Fermiego i Szilarda oznaczało to, że Wielka Rzesza uzyskała największe pokłady uranu w Europie. Niedługo potem Niemcy wydały zakaz wywozu uranu z Czechosłowacji, a znany niemiecki fizyk Flügge ogłosił w fachowym czasopiśmie artykuł o możliwościach wykorzystania energii atomowej.

ANEKDOTY W BIAŁYM DOMU

Fermi powrócił do swej pracy naukowej po nieudanej audiencji u Hoopera, ale Szilard działał dalej. Postanowił zainteresować całą sprawą Einsteina i Roosevelta. Einstein opowiadał później, że „Szilard przybył do mnie już z gołym listem. Ja go jedynie podpisałem”. List skierowany był do prezydenta Roosevelta. Pośrednikiem w doręczeniu listu był bankier Aleksander Sachs, którego Szilardowi polecił jeden ze znajomych wydawców. Sachs był członkiem „trustu mózgów” w Białym Domu. Roosevelt był jednak tak zajęty w związku z wybuchem wojny w Europie, że dopiero 11 października 1939 roku znalazł czas na przyjęcie Sachsa.

Odczytanie listu i dołączonych materiałów nie wywarło jednak na prezydencie dużego wrażenia. Roosevelt był znudzony. Oświadczył, że USA tak uboczną sprawą jak energia atomowa w tej chwili nie mają potrzeby się zajmować. Sachs jednak, który podobnie jak Szilard był przekonany o groźącym niebezpieczeństwie, uzyskał jeszcze jedną audiencję u Roosevelta. Miała ona odbyć się następnego dnia. Cały dzień i poprzedzająca noc spędził Sachs spacerując i rozmawiając. W jaki sposób przekonać Roosevelta. Nad ranem przyszła mu zbawcza myśl. Przed południem udał się do prezydenta. Zamiast jednak opowiadać mu jeszcze raz o „neutronach”, „izotopach uranu” i „reakcjach łańcuchowych”, które nie robiły na Roosevelta żadnego wrażenia, Sachs opowiedział mu następującą anegdotę. Według niej miał amerykański wynalazca Fulton zaproponować wielkiemu Bonapartemu w okresie kiedy Anglia realizowała blokadę Francji zdobycie angielskiej wyspy przy

pomocy okrętów parowych. Napoleon — opowiadał Sachs — roześmiał się serdecznie: Okrety bez żagli? Tego jeszcze nie było.

— Sądzi Pan więc, że Nazi mogą nas wysadzić w powietrze? — zapytał Roosevelt.

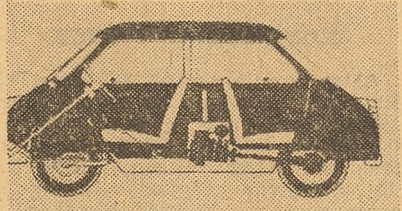
— Tak jest — odpowiedział Sachs.

Po raz pierwszy Roosevelt zdawał się pojmować znaczenie przedstawionych mu badań naukowych. Zawołał swego adiutanta. — Pa — powiedział — musimy coś zorganizować.

W wyniku rozmowy rząd amerykański przyznał laboratorium uniwersyteckim do końca 1940 roku — 6000 dolarów na badania atomowe.

c.d.n.

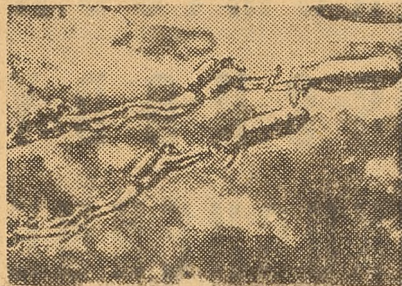
NOWOŚCI TECHNIKI



Samochód „Janus”



Łódka amerykańska



Torpeda dla nurków

Kieszonkowy aparat do anestezji (znieczulenia) skonstruowany został przez grupę uczonych amerykańskich. Aparatu użyto już w 7 tysiącach przypadków takich jak złamanie, trudne porody, usuwanie nerek itp. Aparat dostarcza organizmowi mieszanki cyklopropanu, tlenu i helu.

*

Janus — starożytne bóstwo rzymskie — przedstawiany był zawsze z dwiema twarzami. Jedną twarz patrzyła w przyszłość, druga — w przeszłość. Imieniem Janusa ochrzczoneo w NRF nowy typ małego lotniczego samochodu o niezwykle oryginalnym kształcie i równie niezwykłym rozmieszczeniu miejsc pasażerskich jak i silnika. Cztery pasażerów siedzi mianowicie plecami do siebie. Między siedzeniami znajduje się jednocylinnowy silnik o pojemności 248 cm sześciennych. Moc silnika — 14 koni mechanicznych, co pozwala na rozwinięcie szybkości do 85 kilometrów na godzinę przy zużyciu 4,5 litra benzyny na 100 kilometrów. Ciężar samochodu — 400 kilogramów. Zarówno z przodu jak i z tyłu samochodu znajdują się drzwiczki składające się jak harmonia. Dostęp do samochodu jest więc świetny. Zręczne umieszczenie silnika między siedzeniami zapewnia stosunkowo dużą ilość miejsca pasażerom.

*

Profesor Petre Zdravew z Jugosławii wykrył że poliwinilowa błonka może doskonale zastąpić uszkodzone błony ucha wewnętrzne. Liczne doświadczenia z papierem, kauczukiem, cienkimi złotymi płytkami i innymi materiałami nie dawały dotychczas żadnych rezultatów. Natomiast rezultaty prób z błonką poliwinilową są niezwykle obiecujące.

*

U nas nareszcie pokazały się nadmuchiwane łódki jednoosobowe o wadze około 10 kilogramów. Zwolennicy lekkich sportów wodnych bardzo je sobie chwala. Ostatnim krzykiem mody na lekkie łódki w Stanach Zjednoczonych jest natomiast kółeczka o wadze 16 kg. zbudowana z masy plastycznej i szklanego włókna. Długość jej — 210 cm. Wygodnie mieści dwie osoby.

*

W Belgradzie udało się uczonym otrzymać laboratoryjnie tkaninę bawełnianą i wełnianą, do której wprowadzono miniaturowe, molekularne cząsteczki metalu. Tkanina dzięki temu posiada metaliczny połysk i wysoką trwałość. Nowa tkanina nadaje się do wyrobu dekoracji, draperii i wieczorowych toalet. Oprócz czysto dekoracyjnych celów można ją również stosować do wytwarzania odzieży ochronnej dla osób zatrudnionych w laboratoriach atomowych oraz wszędzie tam gdzie istnieje niebezpieczeństwo porażenia promieniowaniem. Obecnie prowadzi się badania nad ustaleniem które metale i w jakiej ilości chronią organizm człowieka przed niebezpiecznymi dawkami promieniowania.

*

Jedną z firm amerykańskich skonstruowała elektryczną torpedę — niewielki pojazd o rybich kształtach wyposażony w silnik elektryczny. Nurkowie, względnie zwolennicy sportów wodnych, chwytają specjalne uchwyty umieszczone na ogonie pojazdu, a ten ciągnie ich pod wodą. Ciężar aparatu — 30 kg. Ciężar pod wodą — zaledwie 70 kg. Torpeda może zagłębiać się do 50 metrów pod powierzchnię i pracuje przez godzinę bez ładowania akumulatora.

NAUKA

O NOWEJ PRODUKCJI GAZÓW SZLACHETNYCH

wypowiada się założyciel i kierownik Pracowni Niskich Temperatur przy Katedrze Chemii Ogólnej Akademii Górniczo-Hutniczej doc. dr Karol Adwentowski... Jest on jedynym żyjącym współpracownikiem profesora Olszewskiego znakomitego polskiego uczonego. Docent Adwentowski już od kilku lat zajmuje się problemem znalezienia krajowych źródeł tak zwanych gazów szlachetnych (He i neonu (Ne)).

Nazwa „gazy szlachetne” pochodzi stąd, że gazy te w przeciwieństwie do innych pierwiastków są chemicznie obojętne i nie znają żadnych związków tych pierwiastków z innymi. Występują one w znikomych ilościach w powietrzu. Pierwszy z gazów szlachetnych argon został po raz pierwszy otrzymany z azotu atmosferycznego w roku 1894 przez lorda Rayleigha i W. Ramsaya w Anglii. Gaz został oczyszczony, a następnie skroplony na próbie wymienionych badaczy przez prof. Olszewskiego w Krakowie.

Po argonie otrzymał wkrótce Ramsay hel przez ogrzewanie z pewnych minerałów. Hel został odkryty wcześniej na słońcu (stąd jego nazwa), bo już w roku 1868 stwierdzono przy spektroskopowym badaniu widma słonecznego linie spektralne nieznanego składnika, która to linia okazała się linią helu otrzymanego w roku 1896 przez Ramsaya. Wreszcie później otrzymano resztę gazów szlachetnych przy szczegółowym badaniu skroplonego powietrza. Zwartość helu w niektórych minerałach tłumaczy się powstawaniem tego pierwiastka w głębokich warstwach geologicznych z zawartych tamże pierwiastków promieniotwórczych, które przy radioaktywnym rozkładzie dają jako produkt hel gazowy.

Początkowo hel użytkowany był na olbrzymią skalę do wypełniania balonów zamiast palnego, a skutkiem tego niebezpiecznego wodoru, od którego jest jedynie dwa razy cięższy.

Dzisiaj hel ma powszechne zastosowania do różnych celów zwłaszcza w medycynie przy leczeniu różnych chorób narządów oddychania, przy narkozie czy przy zwalczaniu tzw. choroby nurkowej, która powoduje rozpuszczanie się azotu w krwi człowieka pod wielkim ciśnieniem (np. na dużych głębokościach), a następnie po spadku ciśnienia azot gwałtownie uwalnia się z krwi rozsadzając naczyńa krwionośne. Aby tego uniknąć nurek na wielkich głębokościach oddycha mieszaniną tlenu z

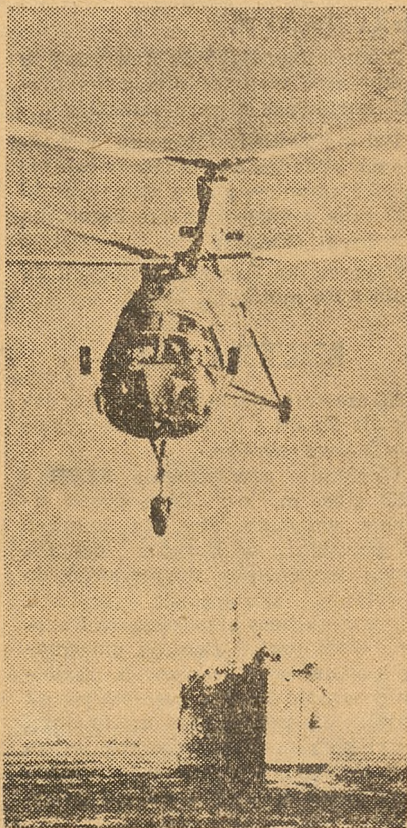
helem, który nie rozpuszcza się w krwi. Dzisiaj ponadto helu używa się przy badaniach geologicznych przy spawaniu lukiem elektrycznym zwłaszcza lekkich metali magnezu i glinu, ponadto jako gazu chroniącego czy też przy niektórych procesach metalurgicznych. W naukowych badaniach posiadanie większych ilości helu pozwala na otrzymanie najniższych temperatur bliskich absolutnego zera.

Posiadanie tego gazu umożliwiłoby przede wszystkim prace badawcze w najniższych temperaturach, który to dział nauki ze względu na obecne warunki nie istnieje. Stąd też Pracownia Niskich Temperatur AGH już w roku 1953 rozpoczęła poszukiwania źródeł gazu w kraju. Długie badania gazów ziemnych, gazów ze źródeł mineralnych zwłaszcza radioaktywnych na Ziemiach Zachodnich wykazały obecność helu i neonu w ilościach zbyt małych (około 0,01 proc.), aby opłacało się oprzeć na nich produkcję. Wobec tego pracownia przebadala gazy wypuszczane na zewnątrz jako nieużyteczne w Fabrykach Związków Azotowych w Chorzowie, Tarnowie i innych. Azot i tlen produkuje się także przez rozdzielanie skraplanego powietrza. Gazy szlachetne — neon i hel — mające niskie temperatury krytyczne nie ulegają skropleniu i jako takie dochodzą w powietrze. Pracownia Niskich Temperatur przebadala ilość zawartych w tych nie użytkowanych gazach mieszanki helowo-neonowej i zaproponowała zużycie ich do technicznej produkcji tych gazów. Wyniki analiz i sposób wykonania — wykazały co najmniej sto razy większą zawartość mieszanki helowo-neonowej w tych gazach odpadkowych w Chorzowie, niż w gazach ziemnych, czy gazach wydobywających się ze źródeł mineralnych. Wartość gazów szlachetnych uchodzących na dobę z samego Chorzowa przedstawia — liczone po cenach importu — co najmniej kwotę 100.000 — złotych; opłaci się więc uruchomić dalszą produkcję do otrzymywania gazów szlachetnych, tym bardziej, że mamy szereg zakładów na przykład w Kędzierzynie, w których produkcja na pewno znacznie przekroczyłaby produkcję chorzowską.

Wyniki badań i opracowana metoda produkcji gazów szlachetnych przez Pracownię Niskich Temperatur AGH zainteresowała czynnik kompetentny i obecnie dla zlecenia Ministerstwa Przemysłu Chemicznego, Instytutu Badawczego, a zwłaszcza w Chorzowie przy współpracy z Pracownią Niskich Temperatur AGH rozpoczęły prace wstępne nad próbą uruchomienia technicznej produkcji czystej mieszanki helowo-neonowej. Można mieć nadzieję, że już z początkiem przyszłego roku będzie w kraju uruchomiona na skalę przemysłową tak potrzebna produkcja gazów szlachetnych. Dalszym etapem rozwoju tej gałęzi przemysłu będzie rozdział mieszanki na składniki i produkcję chemicznie czystych gazów: neonu i helu.

Doc. dr KAROL ADWENTOWSKI
Akademia Górniczo-Hutnicza
w Krakowie

NOWE ZASTOSOWANIE HELIKOPTERA



Helikopter jak się okazuje może zastąpić zarówno silnik jak i ster statku



C. Marca-Relly

TENDENCJE MŁODEGO MALARSTWA

DO WIDZENIA BRZYDKI ŚWIECIE

Zaden człowiek nie żył nigdy w przestrzeni międzyplanetarnej. Jednemu tylko udało się na moment osiągnąć granicę tej przestrzeni. Nazywa się Kittinger. Ma 28 lat. Jest kapitanem amerykańskiego lotnictwa. Trzy tygodnie temu na balonie, o cieniutkiej powłoce z plastiku kapitan Kittinger poblił wszelkie dotychczasowe rekordy wysokości lotu był mianowicie trzy razy wyżej niż zdobywcy szczytu Mount Everest — przekroczył granicę 28 kilometrów.

Następne loty balonem na takie wysokości przedsięwziąć będą uczeni, aby osobiście dokonać pomiarów i obserwacji. W pierwszej, ryzykowną podróż wysłano młodego kapitana, który miał już za sobą 3600 godzin spędzonych na odrzutowcach no i oczywiście dysponował... niezwykle silnym organizmem. Przed swoim rekordowym wzniesieniem Kittinger musiał przejść 10-cio miesięczne przeszkolenie. Terminował więc jako pilot balonowy i skoczek spadochronowy. Uczył się obsługiwać helikoptery (często bardzo denerwująca to praktyka dla pilota odrzutowców), wreszcie przeszedł jeszcze bardziej wyczerpujące próby na klaustrofobię (lęk przed przebywaniem w zamkniętej przestrzeni). Każda z takich dziesięciu prób polegała na zamknięciu pilota na okres 24 godzin w maleńkiej kabine. Wreszcie nadszedł ostateczny termin: 7 godzin przed startem. Kittinger zamknął się w specjalnym ubraniu „ciśnieniowym”. Wyglądał — jak określili badacze — jakby objęty miłosnym uściskiem ośmiornicy. Tak przybrany wszedł do gondoli. Gondolę szczelnie zamknęto a jej wnętrze wypełniono zamiast powietrzem — mieszaniną tlenu z helem. W ten sposób zabezpieczono pilota przed skutkami nagłych zmian ciśnienia, które tak bardzo dają się we znaki nurkom. Od tego momentu głos Kittingera w słuchawce aparatów radiowych brzmiał skrzętać. Hel podwyższa wysokość dźwięku o około jedną oktawę. Oczywiście gondola balonu została specjalnie przygotowana do rekordowego wzniesienia. Sciany, złożone z licznych warstw różnorodnych materiałów zabezpieczających miały od chłodu, jak i silnej operacji słonecznej. System chłodząco-ogrzewniczy zapewniał zaś stałą temperaturę wnętrza — temperaturę pokojową.

Przeszło 5 godzin spędził Kittinger w swoim „gniazdku”, porozumiewając się z uczonymi przez radio. Uczni zaś pilnie obserwowali przyrządy rejestrujące puls pilota, oddychanie i bicie serca. Wynik tych badań: „Jego serce bije regularnie, niż nasze, lekarzy, którzy go tu badamy” — stwierdził naczelną lekarz wyprawy dr Stapp.

Balon napełniono helem. Stał się szybko ogromną budowlą, aż wresz-

cie osiągnął wysokość 25 piętrowej kamienicy. O 6,27 rano kula balonu oderwała się od ziemi. Kittinger, ciągle niezwykle spokojny, powiedział: „Do widzenia brzydki świat”.

Balon wznosił się niemal pionowo, coraz wyżej i wyżej. Pilot zajęty był przez cały czas odczytywaniem obliczeń dokonywanych przez przyrządy, tak że rzadko tylko udawało mu się spoglądać w przestrzeń przez któreś z sześciu okienek kabiny. Niebo pociemniało. Kraj pod stopami stawał się szarą bekształtną masą. W pewnym momencie zepsuł się nadajnik. Kittinger mógł słyszeć głosy badaczy wartujących przy przyrządach na Ziemi, sam nie mógł się z nimi porozumiewać bezpośrednio, musiał nadawać sygnały skomplikowaną, powołną metodą. Zabrało mu to cały czas wznoszenia, tak że prawie zupełnie musiał zaprzestać obserwacji zjawisk na zewnątrz balonu. Zauważył jedynie że niebo stało się ciemnogruntowe, nie widział jednakże planet ani gwiazd. Nagle, spostrazawszy w dół, uświadomił sobie że widzi całe jezioro Michigan — widzi całe jezioro długości 307 mil!

Balon osiągnął 28 kilometrów wysokości po 78 minutach lotu. Początkowo planowano że pilot przebywać będzie na tym pułapie przez 12 godzin, jednak ze względu na wyczerpywanie się tlenu zmusiło badaczy do zarządzenia lądowania po 2 i pół godzinach. Kittinger nie chciał usłuchać rozkazu. Nadszedł deszcz: „Przyjdźcie do mnie i zabierzcie mnie stąd, inaczej nie wyładuję”. Badacze przerazili się że hipoksja (brak tlenu) pomieszała trochę zmysły Kittingerowi, szybko jednak poznano że pilot czuje się świetnie i kpi sobie z badaczy.

Wreszcie Kittinger skapitulował. Wypuścił z powłoki pewną ściśle określoną ilość helu. Powoli wielki balon zaczął opuszczać się na Ziemię. Pilot nie mógł obserwować terenu lądowania. Wysłano więc samoloty, których obsługa informowała Kittingera o wszelkich poruszeniach jego balonu. Trwało to dopóki gondola balonu nie zetknęła się z powierzchnią Indyjskiego Potoku, w odległości 80 mil od miejsca startu.

Pułkownik Stapp, naczelną lekarz wyprawy, podbiegł do kabiny i otworzył kłap. Powoli wygramolił się Kittinger. „Ani jeden czerwony włos na tym łbie nie zbiał” — zawołał lekarz na widok uśmiechniętego pilota, pierwszego człowieka który z narażeniem życia doszedł do granicy przestrzeni międzyplanetarnej, stając się prawdziwym pionierem astronautyki.



Pilot Kittinger bezpośrednio po opuszczeniu kabiny, po swym rekordowym wzniesieniu.

STOSUNEK MŁODYCH MALARZY DO DAWNYCH MISTRZÓW

Pytanie: Czy zdaniem Pana malarz współczesny może skorzystać z doświadczeń malarzów przeszłości.

Odpowiedzi:

GÖTZ: Współczesny malarz wiele może skorzystać z malarzów doświadczeń przeszłości, aby kultywować swoją własną wrażliwość i studiować dialektyczną ewolucję środków malarzskich. Pod tym względem nie tylko starzy mistrzowie mogą dać bardzo dużo, ale również „sztuka” folklorystyczna wielkich lub małych ludów.

Młody malarz może uważać, że cała przeszłość jest bez znaczenia; w tym wypadku debiutuje uczepiwszy się ostatnich osiągnięć swoich współczesnych. Jego własne odkrycia mogą być wynikiem rozwinięcia znanych już rezultatów, lub wręcz przeciwnie, w sposób całkowicie nowy przeciwstawiać się im.

STERPINI: Sądę, że malarz współczesny może skorzystać z artystycznych doświadczeń swoich poprzedników, ale jedynie jako z przykładu lub punktu wyjścia dla poszukiwania swego własnego, ściśle osobistego języka i świata.

KUJAWSKI: Nie sądę by dzisiejszy malarz mógł skorzystać z doświadczeń przeszłości, jego odczucie tragizmu jest bowiem całkiem inne.

JAKI JEST UDZIAŁ ZABAWY I HUMORU W SZTUCE WSPÓŁCZESNEJ?

DOVA: W części współczesnej twórczości malarzkiej (Chagall, Matta, Brauner, Miro) dostrzegam istnienie gwałtownego i żrącego pierwiastka zabawy i humoru. Postawa taka wynika z zajęcia polemicznego stanowiska wobec pewnych aspektów rzeczywistości, której sprzecznosciom stawiamy czoła. Sam zdaję sobie sprawę, że w swoim malarstwie nie raz zamieję takie stanowisko.

STERPINI: Udział zabawy i humoru w malarstwie współczesnym jest bez wątpienia ogromny. Prawie wszyscy wielcy współcześni artyści dali się porwać zabawie. Dadaści i surrealiści, futuryści i kubiści, malarze naiwni i abstrakcyjniści (z wyjątkiem konstruktywistów i grupy „Der Styl”) wszyscy wprowadzili element „zabawy” do niektórych swoich obrazów. Zabawa i humor są częścią ludzkiej działalności i z pewnością nie są one gorsze od dramatu i uczucia. Poświęćmy im najlepsze dni naszego życia.

NOWY KONFORMIZM W MALARSTWIE

Pytanie: Czy młody malarz przeszedłszy przez szkolenie artystyczne właściwie dla Pańskiego kraju wybierze raczej malarstwo abstrakcyjne czy przedstawiające? Czy sztuka abstrakcyjna, która była w swoich początkach sztuką buntu, staje się sztuką konformistyczną?

Odpowiedzi:

FRANCJA

ROUVRE: Nie znam szkolnictwa artystycznego w moim kraju. Jeśli idzie o konformizm sztuki abstrakcyjnej, to istnieje tu o tyle poważniejsze niebezpieczeństwo, że łatwiej jest zrobić zły obraz abstrakcyjny niż zły „Przysięgę Horacjuszy”.

BUSSE: Młodzi malarze wybierają sztukę abstrakcyjną gdyż nie rozumieją, że to sztuka abstrakcyjna powinna ich wybrać. Jasne jest, że czas buntu dawno minął. Z drugiej strony konformizm nie leży w istocie sztuki abstrakcyjnej lecz w jej pozorach, powierzchownej łatwości, zwodniczym zachwalstwie, w świecie jej malarzy i amatorów, w jej galeriach, w jej prozie itp.

SALLES: Wszystko zależy od moralności młodego malarza. Nowa sztuka abstrakcyjna była w ciągu ostatnich dziesięciu lat zaprzeczeniem konformizmu.

WŁOCHY

STERPINI: Fakt, że młodzi malarze przeszli we Włoszech przez szkolenie artystyczne nie zdaje się wpływać na ich wybór między malarstwem abstrakcyjnym a przedstawiającym. Młodzi malarze włoscy są w większości abstrakcjonistami. Z pewnością abstrakcja, jak każdy ruch artystyczny, który doszedł do swej „drugiej fazy”, staje się dla wielu malarzy sposobem uogólniania pewnej metody i języka formalnego. I co gorsza, pojawiają się prawdziwe „akademie abstrakcji”, jak ta, którą kierują malarze Dewasne i Pillet w Paryżu, gdzie język abstrakcyjny został sprowadzony do nędznej stereotypowej gierki. Na szczęście stale powstają i organizują się nowe kierunki by podtrzymywać żywy stosunek między językiem formalnym a ekspresywną ideą.

DOVA: Trudno mi coś powiedzieć, ale obserwując jak współczesne malarstwo abstrakcyjne zmierza do konformizmu, muszę stwierdzić, że fakt iż jest się dziś abstrakcjonistą jest niewątpliwą oznaką konformizmu.

STANY ZJEDNOCZONE

DIEBENKORN: Sądę, że obecnie młody malarz wybiera raczej jakąś formę abstrakcji. W tej bowiem dziedzinie impulsy są najbardziej żywe a osiągnięcia najsilniej rzucają się w oczy. Duch buntu nie jest jedynym impulsem pobudzającym żywotność. Tym nie mniej część sztuki abstrakcyjnej stała się „konformistyczną”, prawdopodobnie akademicką.

NIEMCY

GÖTZ: U nas jedna trzecia mniej więcej wybierze abstrakcję. W sztuce (nie tylko w sztuce abstrakcyjnej) każde odkrycie (wynikające z buntu lub nie) wywołało pewien konformizm. Dawniej mówiono się o szkołach. Dziś, z powodu bardzo żywych kontaktów międzynarodowych, szkoła (w sensie klasycznym) nie ma czasu się ukształtować. O wiele prędzej powstaje konformizm. Jest to próchno, które staje się zarzewiem nonkonformizmu.

ANGLIA

HERON: W dzisiejszym świecie jest prawie tyle odmian akademickiej sztuki abstrakcyjnej co innych rodzajów akademizmu.

ADAMS: Sądę, że malarstwo abstrakcyjne stało się konformistyczne. Spełniło określoną funkcję, ale obecnie granicę jego środków wyrazu są tak ciasne, że malarz obdarzony wyobraźnią w tym rodzaju malarstwa ma zbyt małe możliwości.

BELGIA

BURSSSENS: Ci co naprawdę mają coś do powiedzenia dochodzą bardzo często do abstrakcjonizmu. Na ogół jest to nie tyle nagłe i niespodziewane dokonany wybór, co samolotna, naturalna ewolucja. Sztuka abstrakcyjna może stać się sztuką konformistyczną — ale jeśli staje się nią, to wino leży nie tyle w samej zasadzie sztuki nie przedstawiającej, co po stronie uprawiającego ją artysty, który daje świadectwo braku żywotności. W rzeczywistości jest ona rzadziej konformistyczna — a na pewno nie jest konformistyczna u prawdziwych malarzy — niż współczesna sztuka przedstawiająca. Jeżeli stadium buntu zaczyna należeć do przeszłości nie znaczy to, że konformizm jest nieunikniony, choć niebezpieczeństwo ciągle istnieje, zwłaszcza że wśród abstrakcjonistów jest dużo fałszywych malarzy, by nie rzec ludzi udających malarzy.

WĘGRY

VAITO: Młody malarz w moim kraju — jeśli jest ożywiony duchem rewolucyjnym — wybierze sztukę abstrakcyjną, bo w moim kraju jest to jeszcze rewolucja. Ale utonie w sztuce konformistycznej jeśli wyobrazi sobie, że uchwycił jedyną prawdę i zasklepieja się w niej.

SZTUKA

NAUKA

FILM

detektywistyczno-komediowy film francuski w reżyserii Maurice Labro, z Fernandem w roli głównej.

Bonifacy jest lunatykiem, a pracuje równocześnie w charakterze detektywa znanego paryskiego magazynu mody. Dyrekcja magazynu obdarza go pełnym zaufaniem, wątpliwość tylko w jego genialne pomysły wicedyrektorka panna Thoms. Bonifacy, nie wiedząc o swojej przypadłości, co noc okrada własny magazyn z cennej biżuterii, a w dzień... szuka własnych śladów. „Defekt” Bonifacego stara się wykorzystać szajka gangsterów, planując dokonanie pomyslowej kradzieży.

Przechodząc śladem Bonifacego po niebezpiecznych dachach i przejściach złoździe okradają magazyn. W tym czasie Bonifacy — lunatyk zachodzi do nieobojętnego mu w dzień pani, której w lunatycznym transie nie poznaje, skąd wynikają dalsze perypetie. Nie ulega wątpliwości, że dalsza działalność detektywistyczna Bonifacego doprowadziłaby bogaty magazyn do ruiny, gdyby Bonifacy w czasie jednej z lunatycznych wędrówek nagle się nie obudził i mimo groźących niebezpieczeństw nie przystąpił do zwalczania bandy gangsterów.



„BONIFACY LUNATYK”



MEDYCYNĄ

W czerwcu br. odbyły się w Turynie kilkunastu obrady najslawniejszych lekarzy i chirurgów swiata. Oto kilka nowosci ogloszonych w czasie konferencji:

ChOROBY atomowe

Prof. Sterner z N. Yorku podał po raz pierwszy do wiadomosci publicznej dane dotyczace ilosci wypadkow przy pracy w przemyśle atomowym. Promieniowanie spowodowalo w czasie od 1943 do 1955 r. 16 wypadkow w tym 2 smiertelne i to glownie na skutek manipulowania bronia jadowa. Poza tym smiertelność na skutek chorob zawodowych w przemyśle atomowym jest dwa razy mniejsza od tej cyfry w innych przemyslach.

Rozbrojone zarazki

Walka z chorobami zakaźnymi, w której krokiem decydującym było

odkrycie antybiotyków, prowadzona jest nadal we wszystkich laboratoriach swiata. Wiadomo, że odporność na antybiotyki, którą uzyskują po pewnym czasie liczne zarazki, uniemożliwia w pewnych przypadkach dalsze leczenie i stanowi przy niektórych rodzajach chorob niezwalczoną dotychczas przeszkodę.

Obecnie chemik włoski Chain (który wraz z Flemingiem otrzymał nagrodę Nobla w zakresie medycyny), potrafił określić mechanizm tej odporności na razie u zarazki powodującego wrzody i zakażenia infekcyjne w chirurgii. Zarazek ten broni się przeciw penicylinie, wydzielając ferment, penicylazę, która anuluje działanie leku.

Po długich badaniach wyprodukowano „cefalospirynę N” neutralizującą działanie penicylazy i pozabawiającą w ten sposób środków obrony ten niebezpieczny zarazek.

Odkrycie to ogranicza się wprawdzie tylko do tego określonego przypadku, ale otwiera drogę do owocnych badań nad zwalczaniem niektórych chorob zakaźnych odpornych na chemioterapię — jak np. gruźlica.

Nowy lek przeciwgruźliczy

Prof. włoski Mascherpa wydobyl z płuc zwierząt zdrowych bardzo silną substancję przeciwgruźliczą. Próby prowadzone na organizmie ludzkim na zmianę z leczeniem streptomycyną i PAS'em, daly dobre wyniki i pozwolily powiększyć w ten sposób arsenał broni przeciwgruźliczej.

Jest to nowy rodzaj lekarstwa, zupełnie odmienny od antybiotyków stosowanych dotychczas (pochodzenia roślinnego niszczących lub osłabiających jedynie działanie zarazków), umożliwia on bowiem wykorzystanie własnych środków obrony organizmu przeciw atakom z zewnątrz.

Gnex — obrońca nerek

Sulfamidy, których odkrycie przez prof. Trefouella stało się przed wojną rewolucją w leczeniu chorob zakaźnych, zostały usunięte na drugi plan przez antybiotyki. Obecnie jednak można mówić o nawrocie ich stosowania.

Dr Hamburger, badacz amerykański, stworzył „sulfamid z opóźnieniem”, którego powolne wyzwala-

nie się w organizmie powoduje powstanie stałej mocnej koncentracji środków obronnych. Stosowany już w USA i Szwajcarii pod nazwą „Gnex” okazał się bardzo skuteczny w pewnych chorobach płucnych i nerkowych.

Nowy antybiotyk

Chemicy japońscy wyizolowali nowy antybiotyk przeciw dezynferii i zarazkom powodującym najczęstsze infekcje organów kobiecych.

Koklusz zwyciężony

Francuz Durel wynalazł „spiramycynę” zabijającą zarazki koklusz.

Cocktail antybiotyków

Lekarze niemieccy stosują „sygamamycynę”, prawdziwy cocktail antybiotyków, ułatwiającą szybkie leczenie pewnych chorob wymagających długotrwałego stosowania różnych typów leków.

Fakty -- Plotki

TAK SIĘ ŻENIĆ!

Maria Gheza, wdowa, wygrała na loterii państwowej 70 milionów lirów (nawet na włoską walutę to suma poważna). Zaraz wzięła ślub ze swym adoratorem, szewcem Fuccito, który — ciekawym zrządzeniem losu — w tym samym prawie czasie wygrał na wyścigach 60 milionów lirów.

A CO Z MATEJKĄ?

Pewien profesor historii sztuki z uniwersytetu w Michigan obliczył, że w ciągu ostatnich 20 lat przywieziono do USA: około 9 tysięcy obrazów Rembrandta, 100 tysięcy Watteau i ponad 100 tysięcy Corotów!!!

ZŁOM

Dom poprawczy w Reno oddał na sprzedaż 2 tony używanych narzędzi (zarekwirowanych wychowankom). Są to głównie różnego rodzaju piłki i łomy.

NARESZCIE POSTĘP

W pałacu sprawiedliwości w Rzymie miała miejsce niewidziana dotychczas we Włoszech uroczystość: złożenie przysięgi przez sędziów-kobiety. W ten sposób wreszcie zakończyła się zwycięstwem walka kobiet o prawa zagwarantowane im konstytucją. Podobne uroczystości odbyły się także i w innych miastach Włoch.

PRECZ Z BÓLEM!

W USA wynaleziono nowy typ wiertła do zębów. Nowość ich polega na dziesięciokrotnym zwiększeniu szybkości obrotów (do 200 tysięcy obrotów na minutę). Właśnie ta olbrzymia szybkość powoduje, że pacjent nie odczuwa bólu.

WODA W KONSERWIE

Amerykanie konserwują w puszkach już nie tylko wszelkiego rodzaju żywność, ale i wodę. Twierdzą, że może się przydać na wypadek wojny, epidemii czy katastrof żywiołowych. Czemu nie? Byłe tylko napis na puszcze odpowiadał jej zawartości...

PROSZĘ SIĘ NIE STARZEOĆ

Nowa(?) recepta na zachowanie młodości została podana przez dr Edwarda Bortz, b. prezesa American Medical Association, który zaleca starszym osobom: nie izoiować się, utrzymywać wszystkie dotychczasowe zajęcia i zatrudnienia, nie mówić „jestem za stary, aby robić to czy owo”, gdyż izolacja przyspiesza upadek umysłowy i fizyczny, czyli starość.

MUZYKA

KOMPOZYTORZY PROTESTUJĄ

Nasi kompozytorzy mają — tylko częściowo słuszny — żal do dyrektorów filharmonii i wykonawców, iż zbyt rzadko, „od święta” włączają ich utwory do repertuaru. Rzeczywiście — w ostatnim czasie dał się zauważyć pewien odwrót od rodzimej współczesnej twórczości — utwory Malawskiego czy Lutosławskiego są na estradach prawdziwą rzadkością, a co dopiero mówić o innych, nieporównanie słabszych kompozytorach. Sek jednak w tym, że kompozytorzy są... sami sobie winni. Niewątpliwie bowiem, wszystko to jest stale jeszcze rezultatem tak koszmarnych imprez, jaką był Festiwal Muzyki Polskiej w 1955 roku... Przez cały ówczesny sezon, a w końcu przez kilkanaście dni pod rząd, zmuszało się publiczność do konsumpcji tak potężnej ilości współczesnej, rodzimej twórczości — i to zarówno dobrej jak i zupełnie złej, że obecnie samo nazwisko Dobrowolskiego czy Serockiego na afiszu, działa na słuchaczy niczym ostrzeżenie.

A byli tacy, którzy ostrzegali, iż Festiwal zorganizowany jest na złych zasadach, że takie porcje muzyki współczesnej naszych twórców są nie do strawienia... Nie słuchano tych rad, a teraz nie jest dobrze... Filharmonie dbające przede wszystkim o plany finansowe wolą nie ryzykować Bairda, jeśli mogą grać Ravela.

Zanim więc drogie ZKP, zaczniesz się młotać grzmoty na wykonawców, trzeba pomyśleć i o tym co się samemu narobiło...

DEKADA A SZEROKA PUBLICZNOŚĆ

Doprawdy wielkim optymizmem odznaczał się ludzie urządzający w Filharmonii Narodowej uroczysty koncert z okazji dekady kultury polsko-litewskiej. Zrobiono wszystko, aby program tego koncertu był absolutnie nie do przyjęcia dla tzw. szerokiej publiczności — i nikt chyba szczerze nie wierzył, że kogokolwiek z przeciętnych melomanów zainteresuje obecnie koncert, na którym Geniaszas dyryguje Dvarionas Geniuszasem itd... A przecież jeśli to dekada kultury polsko-litewskiej, można było zrobić np. koncert artystów litewskich o bardziej znanym, polskim repertuarze, wzgl. koncert składany — goście litewscy graliby

utwory swoich kompozytorów, a soliści czy dyrygenci polscy — Chopina lub choćby Szymanowskiego... O publiczności też trzeba trochę myśleć, nie tylko o gwiazdach!...

STRASZNI PIEŚNIARZE

Nasze pieśniarstwo przechodzi trudny okres. Starsi pieśniarze — jak np. Fogg — śpiewają manierą na dłuższą metę już nie do przyjęcia. Młodszy — w ogóle o pieśniarstwie na ogół nie mają pojęcia. To, że Gniatkowski — nie bez słuszności — uważany jest przez publiczność za najpopularniejszego i najlepszego przedstawiciela pieśniarskiej sztuki — mówi właściwie wszystko... Kultura pieśniarska, wdzięk, przyjemny dobry głos, jakiś określony styl interpretacji — o tym zapomnieliśmy już, patrząc od kilku lat na nasze estrady. Pieśniarstwo jest sztuką bardzo trudną — na pewno trudniejszą, niż mogłoby się wydawać przeciętnemu odbiorcy — ale istnieje przecież w Warszawie katedra piosenkarstwa, są chyba zdolni ludzie... Najwyższy czas, aby wypieścić zmięłą często się jeszcze panoszącą (zwłaszcza na koszmarnych imprezach poprzedzających atrakcyjniejsze seanse filmowe).

NIESKAZITELNA WYTWORNOŚĆ

Instrumentalistów naszych orkiestr symfonicznych cechuje nieskazitelna wytworność. Wszyscy mają piękne, szyte na miarę fraki, blyszczące białymi gorsami, poprawiającą kany... Aż dziw bierze, że nie razi ich tło, na jakim pojawiają się podczas koncertów. Brud w naszych salach koncertowych nie jest zjawiskiem rzadkim, lecz swe szczytowe nasilenie osiągnął chyba w Filharmonii Krakowskiej. Parkiet czarny niczym murzyński balet Keita Fodeba; gdy zasiadzie na nim pełna orkiestra, to jeszcze go trochę zakrywa, natomiast podczas np. recitalu de la Bruchollerie ogarnia nas przerażenie i wstyd. Po prostu ciężki wstyd za ten ohylony brud... Nie wszystkie orkiestry świata mają wytworne fraki. Wdzieliśmy na warszawskim Festiwalu Muzyki Współczesnej znakomite zespoły, które przyjechały w zwykłych czarnych ubraniach. Nie stać ich być może na „szyte na miarę fraki”. Ale na pewno stać ich na elektryczną froterkę, odkurzacz i sprzątaczkę, umiejące utrzymać w stałej siedzibie zespołu jaką taką czystość. Piszemy o tym teraz, bo może do przyszłego sezonu da się coś na to i u nas zaradzić... Pano wie dyrektorzy — mniej kwiatów dla solistów, a więcej wody i pałty do podłóg!

CO CZYTAC

„Kanada pachnąca żywica” Arkadego Fiedlera wyszła znowu w „Iskrach”. Witamy owo wznowienie, jak zwykle z radością, tym bardziej, że zdjęcia w obecnym wydaniu są bardzo ładne. Tym, którym się nudzi już wznawiany Fiedler — niech sobie poczytają, jakiś romans współczesny. Potem znowu wróć do doskonałych podróżniczych opisów autora „Ryby śpiewają w Ukajalii”.

Wyszło drugie wydanie „Wyprawa do księżycowej ziemi” Jana Alfreda Szczepańskiego. W młodości — słynny Jaszcz, zaciekle dyskutant — publicysta, recenzent teatralny „Trybuny Ludu” — wędrował po górach i to w dodatku za granicą. Teraz podobno też często jeździ w Tatry, wspina się po górach — ale nad tę rozrywkę przekłada publicystykę.

„Wyprawa do księżycowej ziemi” jest opisem wyprawy alpinistycznej, odkrywczej w Kordyliery południowo-amerykańskie, która miała miejsce w latach 1936—1937. Książka prowadzona jest w formie pamiętnika, którą pisze kronikarz wyprawy. Znajdziemy tam egzotyczne nazwy szczytów i jezior: Tres Cruces De Los Patos, Nacimiento. Ale nie sądzimy, że jest to jedyna atrakcja wspomnień

Jaszcza. Książka rzeczywiście oddaje nastrój górskiej wyprawy, gdzie nie tylko liczy się wysiłek mięśni, wytrzymałość fizyczna, ale również odwaga, siłę charakteru. (Książkę Jaszcza wydały „Iskry”).

Nasza Księgarnia zrobiła nam miłą niespodziankę: wydała „Księgę dzungli” Rudyarda Kiplinga. (Autoryzowany przekład J. Birkenmajera). A więc znowu Mowgli, Kala Nag, Rikki-Tikki powrócił z wygnania. Dobrze byłoby jednak poinformować czytelników, że „Księga dzungli” w wydaniu Naszej Księgarni jest skrótem potężnego dzieła Kiplinga. Rozumiem, że wydawca miał skrupuły z tzw. imperialistycznymi „ciągotami” Kiplinga i usunął również cięższe, dla dzie-

cięcego czytelnika mniej zrozumiałe fragmenty. Tylko trzeba to robić legalnie.

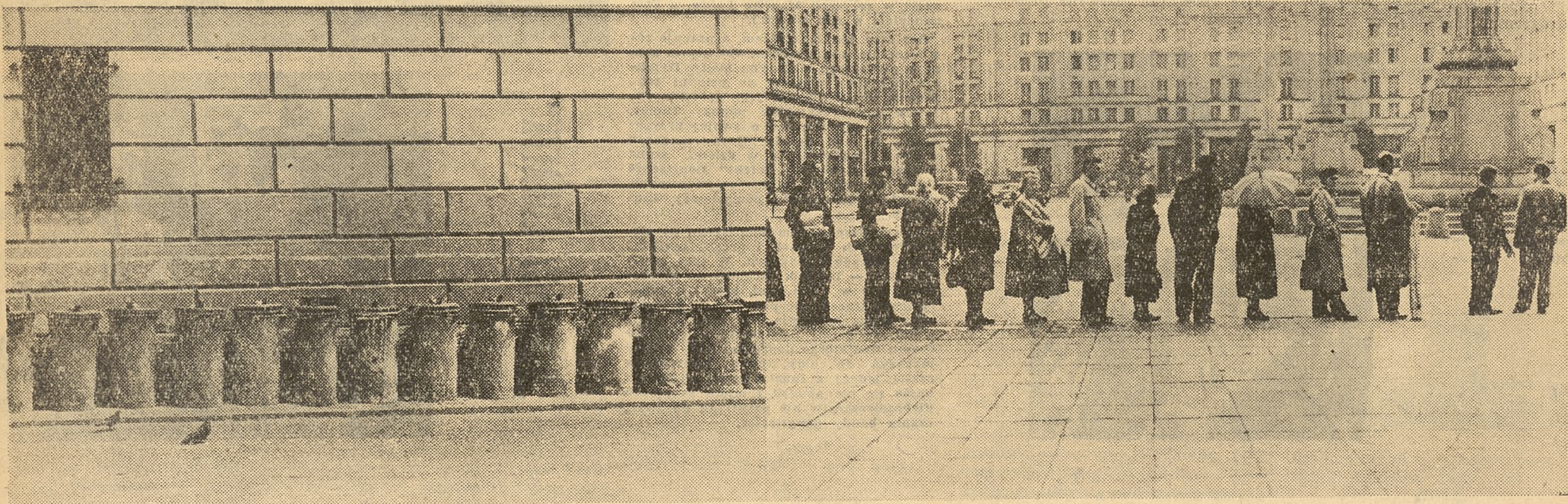
że lektura tego dramatu jest prawdziwą przyjemnością.

*

„Milczenie” Romana Brandstaettera wystawione w Gdańsku i Tarnowie — doczekało się wydania książkowego. (Państwowy Instytut Wydawniczy). Ten dramat współczesny, rzeczywiście porusza bardzo bolesne sprawy. Wystarczy wspomnieć, że osnową sztuki jest denuncjacja pisarza, której dokonuje jego rodzona córka. Motywy jej postępowania, motyw samobójstwa literata Ponilowskiego, rozmowa jego z żoną — wszystko to stanowi o bardzo interesującej intrydze. „Milczenie” Brandstaettera jest bardzo przejrzyste, również i w tym sensie,

*

Wyszła tom drugi dzieł Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. W wydaniu utwory tego poety obejmują pięć tomów. W drugim tomie znajdziemy m. in. „Śmierć inteligenta”, wiersz pt. „Leopold Staff”, „Rach-ciać i trudno”, „Bajka o ponurym obywatelu”. Ogromną część drugiego tomu zajmują szkice, bruliony, fragmenty. Ich opracowanie zawdzięczamy najprawdopodobniej pani Natalii Gałczyńskiej, która w wydawnictwie „Czytelnik” weryfikuje wszystkie teksty K. I. Gałczyńskiego. (Szymon)



ANKIETA

- 1) Czy kobieta ma pracować zawodowo?
- 2) Jeśli tak, to kto ma wychowywać dzieci?
- 3) Jeśli nie, to jak poradzić sobie z budżetem?

E. PERSOWSKI — socjolog

Im wyższy stopień rozwoju cywilizacji i kultury społeczeństwa, tym wyraźniej występuje zjawisko oddziaływania kobiet od ciężkich prac na rzecz opieki nad domem i rodziną. U plemion dzikich, żyjących w prymitywnych warunkach, kobiety ponoszą największy ciężar współudziału w zdobywaniu środków do życia przy równoczesnym piastowaniu potomstwa. Najlepszą ilustracją tego jest widok kobiety uprawiającej rolę z niemowlęciem uwiązany na plecach. W naszych warunkach nie widać tego aż tak jaskrawo, niemniej jednak jest to problem bardzo trudny, właściwie w tej chwili nierozwiązalny. W praktyce albo dochodzi do zaniedbywania wychowania dzieci, albo do skrajnie trudnych warunków materialnych. Za zaniedbanie w wychowywaniu dzieci uważam również powierzanie ich babciom, które z reguły mają bardzo niewielkie w tym kierunku kwalifikacje. A to zjawisko jest u nas bardzo powszechne. Do czasu wyraźnego podniesienia stopy życiowej naszego społeczeństwa doraźnych środków zaradczych należałoby szukać w następującym kompromisie: praca półetatowa dla kobiet, przy jak najsprawniej zorganizowanych żłobkach i przedszkolach.

KAROLINA PERSOWSKA — jej żona.

Jeśli kobieta nie ma jakiegos zawodu, którego wyuczyła się dlatego, że go lubi, że to ją interesuje, a pracuje tylko po to, żeby „dorobić” — to taka praca jest dla niej nie-szczęściem i nigdy nie będzie dobrze jej wykonywać. Trudno myśleć o wydajności w pracy, jeśli umysł przeżywa cały czas zaprzęgnięty jest troską o dom i pozostawione w nim dzieci. Żadna matka nie ufa w pełni siłom najemnym, nawet wykwalifikowanym pielęgniarkom i przedszkolankom. Ponadto przeciążenie pracą zarobkową i wynikające stąd zmęczenie czyni ją nerwową, co źle wpływa na atmosferę domową i ujemnie odbija się na wychowaniu dzieci.

Dr MIECZYSLAW DĄBROWSKI — prawnik.

Nieco trudno odpowiedzieć ogólnie na pytanie, które mi pan postawił. Wydaje mi się, że rozstrzygnięcie tej sprawy jest w każdym wypadku zależne od sytuacji, w jakiej znajduje się dana kobieta. Przede wszystkim decydować tutaj będą takie czynniki jak: sytuacja materialna, posiadany zawód i perspektywy dochodów w tym zawodzie, sytuacja rodzinna, zarobki męża, i cały szereg innych. Dopiero w zależności od tego, jak się te czynniki kształtują, można odpowiedzieć czy dana konkretna kobieta raczej powinna zająć

się dziećmi niż pracować, czy też odwrotnie. Inna sprawa to rozstrzygnięcie w jakim kierunku pójdzie rozwój. Czy w kierunku zwiększenia się ilości kobiet — matek pracujących zawodowo, czy też odwrotnie. Mnie osobiście wydaje się, choć nie mam na to żadnych dowodów, po prostu tak sądzę, że ilość kobiet, posiadających dzieci i pracujących zawodowo raczej nie będzie się zwiększała, a nawet przeciwnie będzie maleć. Oczywiście tempo rozwoju zależy od szeregu czynników, przede wszystkim od wzrostu stopy życiowej. Jedno mogę natomiast powiedzieć stanowczo: żyjące kobietom, posiadającym dzieci, aby nie musiały pracować, o ile oczywiście mogą sobie na to pozwolić.

ALEKSANDRA DĄBROWSKA

Bardzo przyjemnie jest mieć dobrego zawód i nie być zależną od męża. Bardzo źle natomiast jest pracować przez 8 godzin a potem jeszcze zajmować się domem i dziećmi. Dlatego też sądzę, że jeżeli kobieta ma taki zawód, iż może w nim zarobić tyle, aby opłacić odpowiednią pomoc, która mogłaby się zająć dziećmi i gospodarstwem, to może raczej powinna wybrać pracę. Takie wypadki są jednak bardzo rzadkie. Dlatego też sądzę że większość kobiet raczej wybierze rezygnację z pracy zarobkowej i poświęci się wychowaniu dzieci, które na pewno lepiej na tym wyjdą. O ile oczywiście będzie ją na to stać.

ANIELA PORAZIŃSKA — gospodyni domowa

Uważam, że pytania sformułowane są niefortunnie, nie dostosowane do sytuacji kobiety-matki w naszych warunkach. Prawdę mówiąc bowiem, obojętne czy kobieta pracuje zarobkowo, czy też prowadzi dom, wychowanie dzieci nie może niestety być jej głównym zajęciem. Zbyt dużo czasu pochłaniają zakupy (z powodu trudności zaopatrzeniowych) praca w gospodarstwie domowym (z powodu braku najprymitywniejszych urządzeń pomocniczych) itd. Jak to ma wyglądać w teorii — prościej spytać mojego męża, on jest ekonomistą i urodzonym teoretykiem.

JAN PORAZIŃSKI — ekonomista.

Trudno odpowiedzieć w kilku zdaniach. Każdy powinien pracować. Czy kobieta ma pracować w domu, czy poza domem, o tym powinny decydować dwa względy: przede wszystkim wychowanie dzieci, dalej — opłacalność społeczna pracy. Jeśli wychowanie rodzinne jest lepsze — matka nie powinna pracować poza domem. Jeżeli żłobek, przedszkole, szkoła dobrze wychowują — matka może pracować poza domem. W tym drugim wypadku powinny decydować względy opłacalności. Jeżeli praca poza domem pokryje koszty z rezygnowania z pracy kobiety w domu i da nadwyżkę, kobieta powinna pracować poza domem. Jeśli pranie, sprzątanie, gotowanie itd. kosztują więcej niż kobieta zarobi — pracować poza domem nie może. Równoczesna praca i w domu i poza domem jest niewolnictwem i należy ją wykluczyć. W naszej sytuacji i argumenty wychowania i opłacalności przemawiają przeciwko o pracy zarobkowej kobiet. Aby stworzyć do niej warunki trzeba 1) ulepszyć znacznie instytucje żłobków, przedszkoli, szkół, 2) dostarczyć urządzeń potrzebnych prac domowej, jak pralki, maszyny kuchenne itd.

Nawet jednak, gdy to nastąpi wychowanie domowe w rodzinach o wysokiej kulturze będzie wartościowsze niż wychowanie masowe i w takich rodzinach matki nie powinny pracować zarobkowo (ewentualnie jakieś pół — czy ćwierć-etaty).

Na razie mimo trudnych warunków ekonomicznych powinniśmy starać się, w miarę skromnych naszych możliwości, uwalniać matki od niewolnictwa równoczesnej pracy domowej i zarobkowej, a dać im książki i kursy pedagogiczne.

ZOFIA BOCHENSKA — pracownica naukowa.

Przed wszystkim każda kobieta powinna mieć prawo wyboru: jeżeli

chce pracować — musi mieć do tego pełne prawo, jeśli zaś woli obowiązek gospodyni domowej — powinna mieć takie warunki, aby nie musiała zarobkować. Moim zdaniem dla kobiet lepiej jest jeśli pracuje. Wzmocnia to jej samopoczucie jako jednostki samodzielnej, społecznie użytecznej, daje pełniejszy udział w życiu. Ja osobiście nie wyobrażam sobie stanowiska „zawodowej żony”. Oczywiście kobieta-matka, zwłaszcza jeśli ma kilkoro dzieci, ma bardziej ograniczone możliwości pracy zawodowej. W takim przypadku najwłaściwsze wydaje mi się wprowadzenie pracy na etatach częściowych. Pozwoliłoby to na utrzymanie kontaktu z zawodem bez zaniedbywania opieki nad dziećmi. Oczywiście konie-

czne są tutaj różne udogodnienia gospodarskie i to nie tylko w postaci dobrze prowadzonych żłobków i przedszkoli, ale nawet takie instytucje, jak zbiorowe stołówki dla całych bloków itp. To kwestia organizacji.

Inż. TOMASZ BOCHENSKI

Jestem odmiennego zdania. W rodzinie powinna pracować tylko jedna osoba i to powinno wystarczać. Chyba że ktoś ma zdecydowany anty-talent pedagogiczny, to powinien pracować i wynajmować wychowawczynię. Zarobkowej pracy matki nie da się nigdy pogodzić całkowicie z wychowaniem i pielęgnacją dzieci. Pracę kobiet na pół-etatach można przyjąć w naszych warunkach jako przejściowe zło konieczne.

Okienko problemów aktualnych

Kłopoty turysty

— U nas pełno — u nich pusto. Takie jest pierwsze wrażenie turysty wjeżdżającego do Tatrzjańskiej Łomnicy czy Smokowca. Wieczorami ulice tych uzdrowisk są jak wymarłe. Nie pali się ani jedna latarnia. Z niezliczonych tylko okien bije światło. Sezon zaczyna się tu podobno dopiero w połowie lipca. Cukierkowe pensjonaty są tygodniami nie wykorzystane. Wniosek? Ruch wczasowy i turystyczny jest u nas znacznie bogatszy niż w Czechosłowacji. Mimo ich zmysłu organizacyjnego, ich umiejętności gospodarowania i zamykania do porządku (ulice czystutkie, ściany domów świeżo malowane, pełno klombów kwiatowych) życie u nas pulsuje żywiej. Tak, jest zupełnie inaczej. Nawet nasz WOP i nasi celnicy choć może nie tak gładcy, wydają się bardziej... ludzcy. A w ogóle ze sprawami celnymi jest całkiem komedia. Błada turysta który wybiera się na dwa dni w góry. Na komorze celnej stracił mnóstwo czasu, a także wiele cennego... „towaru”. A to odbiora ci lub ocał bućki, to znów skonfiskują, lub wezmą w depozyt paczkę gumy do żucia („żuwaczki” — rarytas w Czechosłowacji). Nie pojmuję kto i dlaczego wymyślił akurat dzienną stawkę 50 koron dla turysty udającego się na teren objęty konwencją. Po co te ograniczenia? Toż obustronny ruch turystyczny pozbawiony tej przeszkody (stawka dzienna jest absolutnie zbyt niską) rozwinięty się bujał z korzyścią dla obu stron. Skończyłby się niemal zupełnie nędzarski, drobny przemysł. Ludzie przewoziłiby więcej pieniędzy i „to-

war”, podarunki” czy jak tam to nazwiemy w większej ilości ale w rozsądnych granicach. Granice te określone być powinny szczegółowymi przepisami, których obecny brak pozwala dość swobodnie interpretować celnikom różne zarządzenia. Polska nie straciłaby chyba nic na skutek wywozu chustek i gumy do żucia, a czechosłowacki przemysł nie zachwiałby się od legalnego wywozu stosunkowo niewielkiej ilości bućków. Zwłaszcza że buty „żuwaczki” i tak się teraz wozi, tylko że w ukryciu. Ludzie uczą się oszukiwać władzę a władze niepotrzebnie w każdym turyscie wietrzą wielkiego przemysłnika.

Trzeba też wrzeszcze ucieszyć i bez ogródek stwierdzić że sprawa konwencji jest, delikatnie mówiąc, bardzo różnie interpretowana przez każdą z zainteresowanych stron. Przed ludźmi przybywającymi do nas z Czechosłowacji stoi właściwie otworem niemal cała Polska. Wcale nie namawiam do jakiegos odwetu. To dobrze że zbyt biurokratycznie nie traktujemy sprawy przekraczania przez turystów czeskich i słowackich granic objętego umową obszaru. Niech sobie zwiedzają nawet Kraków i okolice. Żadnej szkody nam to nie przyniesie. Gorzej jednak, że na naszych turystów, gdy o kilka czy kilkanaście kilometrów, odważą się przekroczyć granicę określonego terytorium cychają surowi strażnicy. Takie są fakty. Fakty, które każą zastanowić się nad możliwością wznowienia rozmów w sprawie poszerzenia umowy i objęcia nią większych obszarów niż dotychczasowe. Obecnie nie nie stoi na przeszkodzie aby się tym zająć. Tur-

styka nie polega tylko na łażeniu po górach (co sam zresztą bardzo lubię), ale i na poznawaniu zaprzyjaźnionego kraju i jego mieszkańców. My to dobrze rozumiemy. Chodzi tylko o to by rzecz postawić jasno. Trzeba koniecznie wyznaczyć w tej sprawie poglądy z naszymi przyjaciółmi z tamtej strony Tatr. Szczerze — to znaczy bez kurtuazyjnych obsłonek. Zwłaszcza że ciągle istnieją trudności nie wiadomo dokładnie jakimi poparte argumentami. Oto np. parszywa droga do Łysej Polany wymaga naprawy. Naprawa zaś wymaga zamknięcia drogi na dłuższy okres czasu. Którędy będą jeździć turyści? Gdzie będzie się znajdował „punkt” (dlaczego tylko jeden?) przekraczania granicy? Proponowaliśmy (Czerwony Klasztor w Pieninach jako miejsce odprawy celnej i innych skomplikowanych (ciągle jeszcze) formalności. I tu zaczęły się przeszkody. Czerwony Klasztor znajduje się poza wazlutką strefą konwencji. Zdaje się że w końcu sprawa naprawy drogi na Morskie Oko będzie załatwiona po łowicznie. To znaczy naprawiać się będzie pół szosy, a drugą połowę kursować będą auta i autobusy. Przykład ten ilustruje nie tylko obiektywne trudności umowy o obszarze turystycznym, sygnalizuje również pewne niedołęstwo naszych władz turystycznych. Nie wierzę aby po poruszeniu wszystkich możliwych sprężyn, na wszystkich możliwych szczeblach, rzeczy nie udało się jakoś załatwić. Ze zbyt biała sprawa? Większość ludzkiego życia składa się z błahostek. To trzymam, rozbrajający wszelkie kontrargumenty.

FAKTY

OBSADA NOWEGO FILMU HEMINGWAY'A

Sławna pieśniarka francuskiej egzystencjalistów Juliette Greco znajduje się obecnie w Hollywood, gdzie wraz z Ava Gardner gra w filmie opartym na powieści Hemingway'a „The sun also rise”, z której wyjątek p. t. „Festyn w Pampelunie” był niedawno drukowany w „Gazecie Krakowskiej”.

KTO JAK KŁAMIE?

Psychiatrzy francuscy twierdzą, że kobiety kłamią o wiele mniej niż mężczyźni, a okres największego nasilenia kłamstw ma miejsce u kobiet między 10 a 14-tych rokiem życia, u mężczyzn między 15 a 18-tych. Po 20-ym roku życia tak mężczyźni jak i kobiety unikają kłamstwa i ograniczają się do przekraczania

faktów. Stwierdzono również, że im wyższy poziom inteligencji... tym więcej się kłamie.

SZCZEGÓLNA ADORATORKA

W czasie pobytu Fr. Sagan w szpitalu zwracały uwagę codzienne odwiedziny jakiegos wieśniaczki. Gdy zaintrygowany personel zapytał młodą pisarkę, co sprowadza do niej tę skromną kobiecinkę, opowiedziała, że po wyjściu jej pierwszej książki otrzymała od niej list z prośbą o umożliwienie jej kupna konia. Za udzieleną zapomogę kobieta rzeczywiście wymarzonego konia kupiła i jeszcze została jej spora kwota na uzupełnienie potrzeb gospodarstwa. Nie zapomniiała, jak się okazuje, tej przysługi.

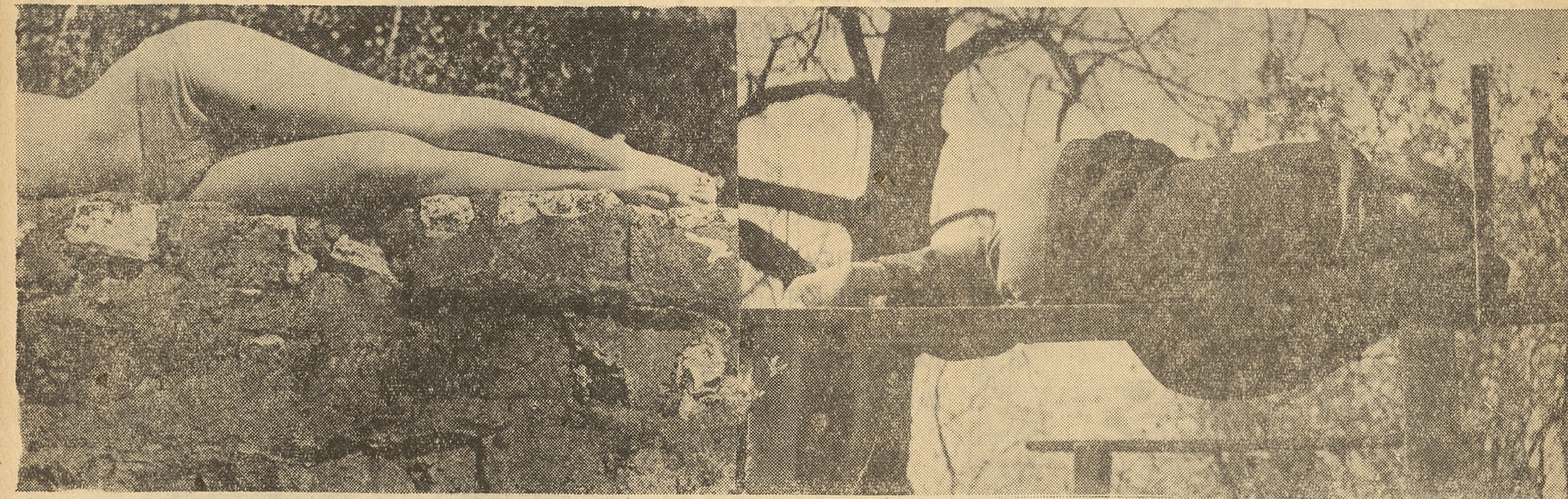
KTO UMIE LEPIEJ PO ANGIELSKU?

Amerykanie twierdzą, że Anglicy nie umieją mówić prawidłowo... po angielsku. Byli zatem mile zdziwieni, kiedy angielski film „The Yangtse incident” przyszedł do nich

PLOTKI

w wersji takiej, jaką zawsze chcieliby słyszeć. Ale żeby to osiągnąć, reżyser angielski musiał mieć stałe przy sobie — w Londynie — doradcę językowego z Ameryki...

WOJCIECH PLEWINSKI MA 29 LAT Z ZAWODU JEST ARCHITEKTEM. FOTOGRAFIKA INTERESUJE SIĘ OD 53 ROKU. W 1955 R. OTRZYMUJE I NAGRODĘ NA OGÓLNOPOLSKIEJ WYSTAWIE PTF. OBECNIE WYSTAWIA PRACĘ W PARYŻU, BELGRADZIE, MOSKWIE I FRANKFURCIE



ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

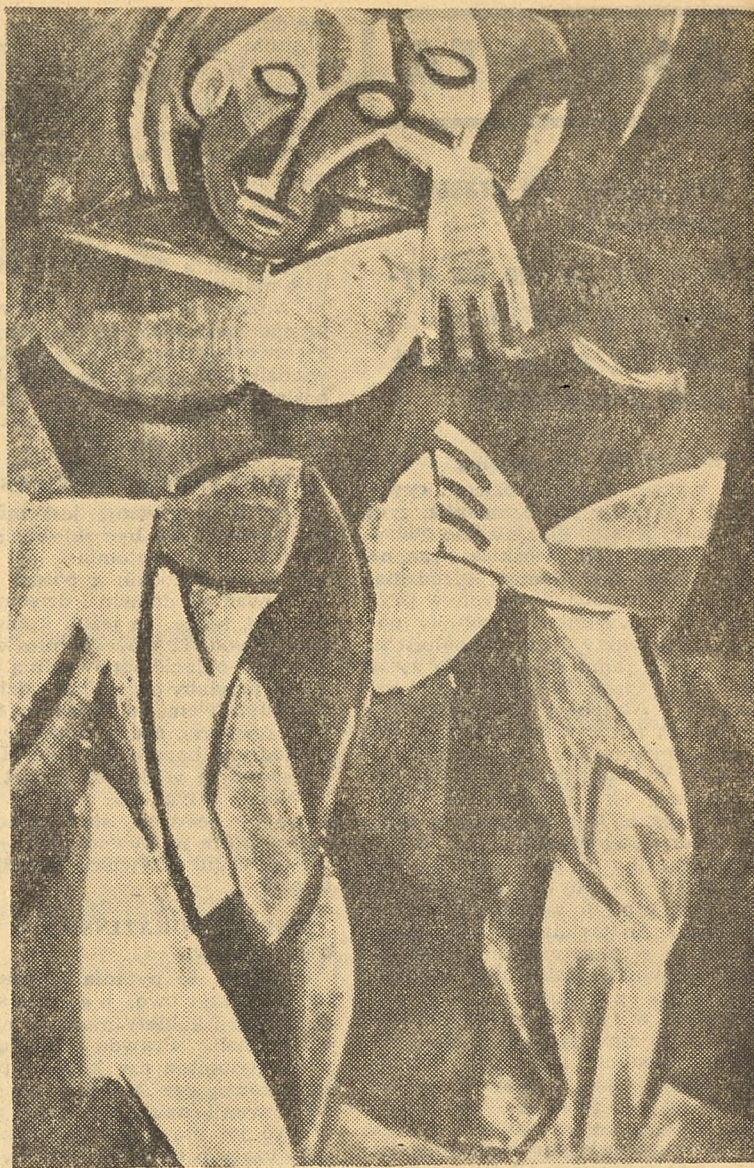
Adam Kotula
Piotr Krakowski

8)

KUBIZM

Nazwa „kubizm“ pochodzi od słowa „cube“ — sześcian. „Trop de cubes“ — za dużo sześcianów — powiedział podobno po raz pierwszy w odniesieniu do nowego kierunku, Matisse, oglądając przedłożone jury „Salonu Jesiennego“ pejzaże Georges Braque'a. Obrazów tych z wyjątkiem dwóch — na Salon nie przyjęto i ostatecznie Braque wystawił je w galerii Daniela H. Kahnweilera. Wystawa znalazła oddźwięk w prasie. W „Gil Blas“ z 14 listopada 1908 r. krytyk paryski Luis Vauxcelles tak charakteryzuje nową fazę twórczości Braque'a: „sprowadza on wszystko — krajobraz, postacie, domy do schematów geometrycznych, do sześcianów“. W następnym roku ten sam Vauxcelles w swej recenzji o „Salonie Niezależnych“ mówi już o malarstwie kubiistycznym. Ostatecznie termin „kubizm“ zostaje usankcjonowany przez Guillaume Apollinaire'a, który używa go w przedmowie do pierwszej zagranicznej wystawy kubitów w Brukseli w r. 1911.

Podobnie jak fowizm, kubizm nie był kierunkiem jednorodnym. Zrodził się z indywidualnych i początkowo niezależnych od siebie poszukiwań Picassa, Braque'a, Legera, Metzingera, Gleizesa. Indywidualne różnice pomiędzy poszczególnymi artystami, różnorodność programów i teoretycznych założeń, formułowanych często ex post, a wreszcie ewolucja jaką przeżył kubizm — wszystko to utrudnia wyodrębnienie wspólnych cech a tym samym podanie jednolitej definicji. Niemniej na ogólniejszą istotę kubizmu można ująć jako dążność w kierunku przekształcania w dwuwymiarową postać przeżycia, będącego w przestrzeni i ruchu, bez usiłowania utworzenia iluzjonistycznej głębi, względnie modelunku. Zamiast stwarzać wrażenie przestrzenności kubiści starali się dać zestawienia form dwuwymiarowych, które tak są uporządkowane że przy całkowitym uszanowaniu płaszczyzny obrazu,



bryła zostaje przedstawiona w różnych widokach i niejako z różnych stron. Kubiści formowali więc bryłę bez posługiwania się środkami iluzjonistycznymi a tym samym unikali naruszenia płaszczyzny płótna. W ten sposób kubizm ustrzegł się złych następstw stylizacji i ornamentyki. Jeżeli np. fowiści tworzyli kolorystyczne sensacje podporządkowane płaszczyźnie obrazu, to wyraźnie wyłączali ze swych rozważań zagadnienia przestrzeni i trójwymiarowego modelunku. W konsekwencji ograniczali się do dwóch wymiarów, lekceważyli brylowatość przedmiotu i traktowali go płasko. Kubiści wyszli poza te ograniczenia i uzyskali niezależność i obrazotwórczość, swobodę: niezależni się od motywu, nie rezygnując równocześnie z chęci oddania bryły, tak istotnej dla przedmiotu. „Wiele uwagi zwracałem zawsze na zagadnienie przestrzeni, — powiada Braque, — Ona właśnie leży u podstaw pierwszych poszukiwań kubitów. Przestrzeń, światło — oto geneza naszych zainteresowań“.

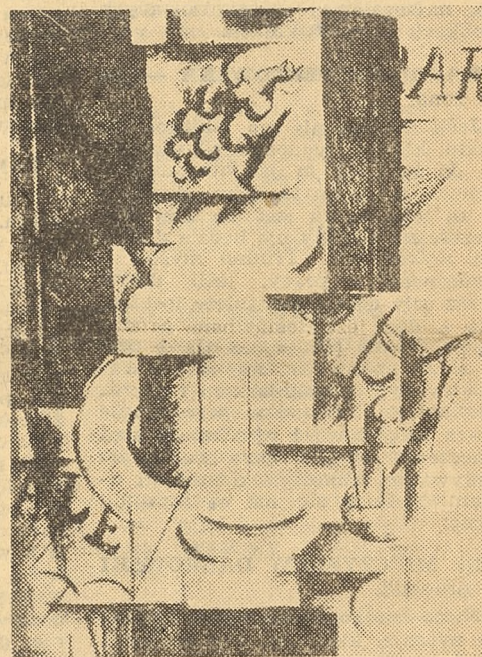
Kubiści pragneli ukazać świat nie zniekształcony przez zmysły: „Świat widzialny staje się światem rzeczywistym jedynie dzięki działaniu myśli“ — pisze Gleizes i Metzinger w swojej rozprawie pt. „Du cubisme“ (O kubizmie), wydanej w r. 1912, a Braque powiada, że „zmysły zniekształcają, zaś umysł kształtuje“. U kubitów zaznacza się kult wyobraźni. Ich estetyka bazuje nie na obserwacji lecz wyobraźni. Pragną ukazać nie świat widzialny lecz wysnuty z wyobraźni.

Pragną ukazać przedmioty w ich całości, nie tak jak my je widzimy, lecz zgodnie z tym, co o nich wiemy. Dlatego postępują, z przedmiotem jak człowiek, który go ogląda obracając w rękach. W oparciu o wiedzę, kubiści pragną go pokazać ze wszystkich stron. W konsekwencji malarskiej prowadzi to do odrzucenia przez nich perspektywy, modelunku, światłocienia, do ustawiania obok siebie poszczególnych płaszczyzn bryły lub różnych planów przestrzeni. (c. d. n.)

GEORGES
BRAQUE:

WAZA
Z OWOCAMI
I SZKŁANKAMI

(1913)

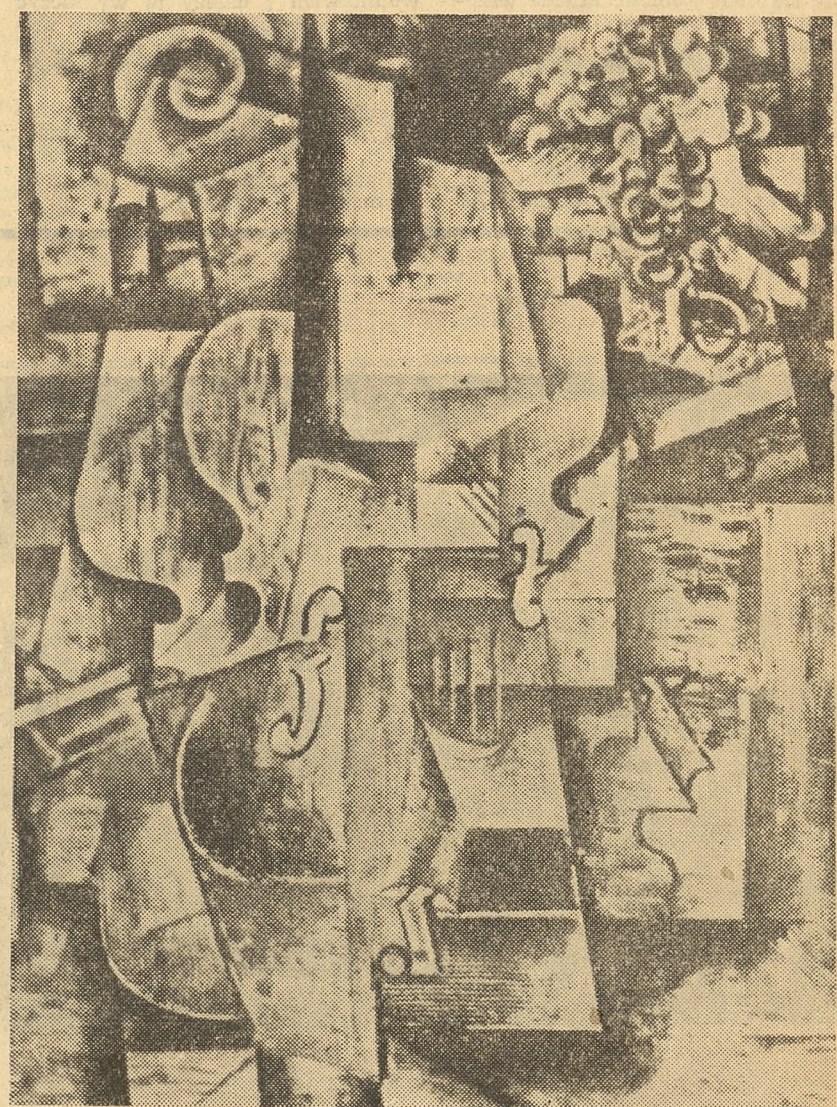
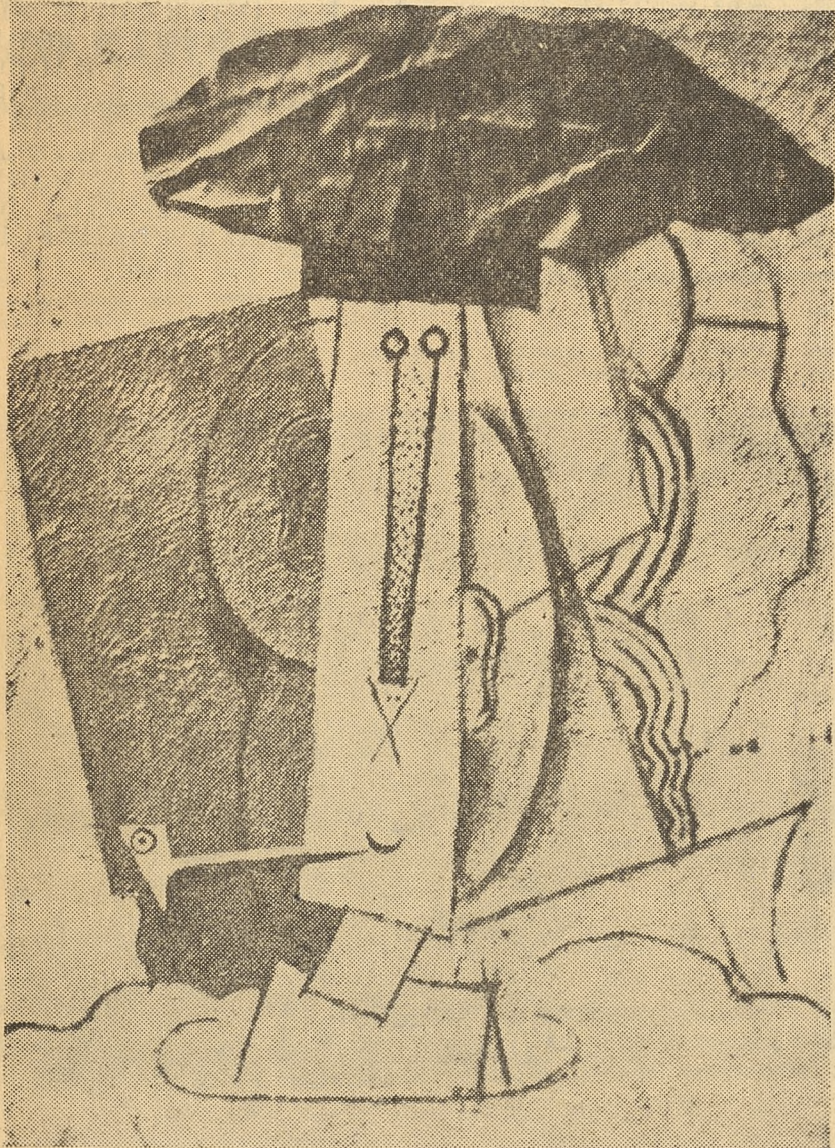


U GÓRY:
PABLO PICASSO
KOBIETA Z GRUSZKAMI
(1909)

PABLO PICASSO
DWA AKTY (1907)

U DOŁU:
PABLO PICASSO
STUDENT (1914)

PABLO PICASSO
MARTWA NATURA
(1912)



Od tłumacza.

Doskonali pisarze radzeczy Iłja Iłf oraz Eugeniusz Pietrow znani są polskiemu czytelnikowi jako autorzy „Dwunastu krzesel” (wyd. „Iskry”).

Opowiadanie „Hrabia Śródziemski” zostało opublikowane w Państwowym Archiwum Literatury i Sztuki ZSRR i ukazało się drukiem po raz pierwszy w miesiącu czerwcu br. na łamach periodyków radzieckich.

Napisane zostało w roku 1930.

Iłja Iłf zmarł w roku 1957, natomiast Eugeniusz Pietrow zginął na froncie w 1941 r. M. K.

Stary hrabia umierał. Leżał na wąskiej, brudnej sofie i wyciągnąwszy ptasią głowę ze wstrętem patrzył w okno. Za oknem drgała mała zielona gałązka, podobna do broszki. Na podwórzu hałasowały dzieci. A na parkanie domu położonego naprzeciwko był hrabia Śródziemski odczytywał namalowane szablonem hasło poświęcone zbieraniu odpadków: „Idąc w gości — zbierajcie kości!”.

Dewiza ta od dawna już była mu wstrętna, a obecnie zawierała nawet jakąś ubliżającą aluzję. Były hrabia odwrócił się od okna i gniewnie wlepił wzrok w popękany sufit.

Jak bardzo pokój Śródziemskiego nie był hrabiowski!

Nie wisiały tutaj portrety bohaterów Katarzyny w morowych kamizelkach. Nie było i zwyczajnych okragłych puklerzy tatarskich. I meble były o cienkich nogach, nie rodowe. I parkiet nie był wyfrotowany i nie się w nim nie odbijało.

Przed śmiercią hrabia powinien był pomyśleć o swoich przodkach, w gronie których znajdowali się dzielni wojownicy, statysci, a nawet poseł przy dworze hiszpańskim. Należało również pomyśleć o Bogu, ponieważ hrabia był człowiekiem wierzącym i regularnie uczęszczał do cerkwi. Ale zamiast tego wszystkiego myśli hrabiego zaprzątnięte były niedorzecznymi kłopotami, życia codziennego.

„Umieram w niehygienicznych warunkach — mruczał gniewnie — do tego czasu nie mogli pomalować sufitu!”.

I jakby na złość przypomniało mu się znów najbardziej upokarzające wydarzenie. Kiedy hrabia jeszcze nie był byłym, i gdy wszystko było — było jeszcze teraźniejszym, kupił sobie za 600 franków w 1910 roku miejsce na cmentarzu w Nicei. Właśnie tam, pod elektryczną zielenią pragnął hrabia znaleźć wieczny spoczynek. Jeszcze niedawno napisał ostry list do Nicei, w którym rezygnował z miejsca na cmentarzu i żądał zwrotu pieniędzy. Ale zarząd cmentarza w uprzejmej formie odmówił. W liście tym wyjaśnił mu, że pieniądze wpłacone na poczet grobu nie podlegają zwrotowi, ale jeżeli ciało pana Śródziemskiego z dokumentami stwierdzającymi prawo do miejsca na cmentarzu przybędzie do Nicei — zostanie ono rzeczywiście pochowane na cmentarzu nicejskim. Przy czym wydatki związane z przekazaniem ciała obciążają oczywiście całkowicie pana hrabiego.

Zarobki hrabiego pochodzące z ulicznej sprzedaży papierosów były bardzo skromne i on mocno wierzył w pieniądze z Nicei. Korespondencja z zarządem cmentarza spowodowała u hrabiego wiele zaburzeń nerwowych i wywarła destruktyny wpływ na jego organizm. Po obrzydliwym liście, w którym tak spokojnie rozstrząsano zagadnienie przewiezienia jego szczątków — hrabia całkowicie opadł z sił i prawie nie wstawał ze swojej sofki. Nie dowierzając — zupełnie słusznie — pocieszeniom rojenowego lekarza, hrabia przygotowywał się do pożegnania z życiem. Umierać jednak nie chciał mu się tak, jak nie chce się chłopcu przerywać gry w piłkę, aby odczytać lekcję. Hrabia przygotowywał wielką intrygę przeciwko trzem studentom — Szkarłatowi, Prużańskiemu i Talmudowskiemu, którzy mieszkali o piętro wyżej. Jego nienawiść do tych młodych ludzi zrodziła się całkiem zwyczajnie. W gazecie ściennej realności pojawiła się namalowana karykatura przedstawiająca hrabiego w chydnej postaci — z długimi uszami i króciutkim tułowiem. Pod karykaturą znajdował się wierszowany napis.

Pod wierszem widniał podpis: „Trzech”. Śródziemski przełknął się. Zasiadł do sprostowania, postanowiwszy napisać je również wierszem. Ale nie mógł osiągnąć tak wysokiej techniki wierszowania, jaką wykazali jego wrogowie. A do tego do st dentów przyszli goście. Brzdękano na gitarze, nuciło pieśni i mocowano się, dając znać o tym ciężkim tupaniem. Niekiedy doleatywały z góry okrzyki: „Engels uraga mu, ale oto Plechanow...”. Śródziemskiemu udało się tylko pierwszy wiersz: „To, żem hrabia — nie ukrywał...”. Zaprzeczanie prozą było zbyt ciche. Napaść pozostała bez odpowiedzi. Sprawa jakos zaistniała się sama. Ale obelgi Śródziemski zapomnieć nie mógł. Usypiając widział jak na ciemnej ścianie — coś w rodzaju „Mene tekel fares” — Baltazara, zapalają się trzy fosforyzujące słowa:

Szkarłat, Prużański, Talmudowski

Wieczorem w zaułku zrobiło się ciepło i ciemno, jak pomiędzy dłońmi. Sprężyny sofki skrzyptały. Hrabia niespokojnie umierał. Już tydzień temu opracował szczegółowy plan zemsty na młodych ludziach. Był to cały arsenał zwykłych domowych świństw: za — ale do administracji domu na Szkarłata, Prużańskiego i Talmudowskiego z podkreśleniem faktu niszczenia przez nich mieszkania, a — a do sekretariatu uczelni z podpisem „Przyjaciel oświaty”, w którym oskarżał studentów o hultajstwo i grzech rozpusty, tajne doniesienie do milicji, że student przysięgł na nocleg w swoim pokoju niezameldowanych podejrzanych obywateli.

Hrabia orientował się doskonale w sytuacji. Dlatego też planował jeszcze jeden list do organizacji partyjnej uniwersytetu z metną aluzją o stałych praktykach prawicowego odchyleń dokonywanych przez partyjnego Talmudowskiego pod pokrywką „lewicowego frazesu”.

I wszystko to nie zostało jeszcze wykonane. Przeskoczyła śmierć. Zamykając oczy hrabia czuł jej obecność w pokoju. Stała za szklaną, zakurzoną szafą. W jej rękach tajemniczo pobłyskiwała kosa. Mogła nastąpić paskudna historia: hrabia mógł umrzeć nie dokonawszy zemsty.

A tymczasem obelgę należało zmyć. Przodkowie Śródziemskiego wszelkiego rodzaju obelgi zmywali krwią. Ale zalać kraj potokami młodej, gorącej krwi Szkarłata, Prużańskiego i Talmudowskiego — hrabia nie mógł. Zmieniły się warunki ekonomiczne. Na puszczanie w rąk skmplikowanego systemu donosów nie było już czasu, ponieważ hrabiemu pozostało, jak widać, tylko kilka godzin życia.

Należało wymyślić wzajemnie za to jakąś silnie działającą i szybką zemstę.



Kiedy student Talmudowski oświetlony pełnią greckiego księżyca przechodził obok domu — ktoś go zawołał. Odwrócił się. Z okna hrabiowskiego pokoju wabiła go kościasta ręka.

— Mnie? — zapytał ze zdziwieniem student.

Ręka w dalszym ciągu wabiła. Dał się słyszeć ostry, pawi głos Śródziemskiego:

— Proszę wejść do mnie! Błagam pana! Koniecznie.

Talmudowski wzruszył ramionami. Po minucie siedział na sofie w nogach hrabiego. Małutka lampka rzucała na pokój matowe, brązowe światło.

— Towarzyszu Talmudowski — powiedział hrabia. — Ja stoję na progu śmierci. Moje dni są policzone.

— No, kto je tam policzył! — zawołał zycielwie Talmudowski. — Pan jeszcze pożyje dobry kawał czasu.

— Proszę mnie nie pocieszać. Moją śmiercią odpokutuję za wszystko zło, które niegdyś wyrządziłem panu.

— Mnie?

— Tak mój synu! — jęknął hrabia głosem kapłana. — Jestem wielkim grzesznikiem. Przez dwadzieścia lat cierpiałem i nie mogłem ujawnić tajemnicy pańskiego urodzenia. Ale teraz umierając pragnę opowiedzieć panu wszystko. Pan nie jest Talmudowski.

— Dlaczego nie jestem Talmudowski? — zapytał student. — Jestem Talmudowski.

— Nie. Pan w żadnym wypadku nie jest Talmudowski. Pan jest Śródziemski, hrabia Śródziemski. Pan jest moim synem. Oczywiście, może mi pan nie wierzyć, ale to czysta prawda. Przed śmiercią ludzie nie kłamią. Pan jest moim synem, a ja pańskim nieszczęśliwym ojcem. Proszę przybliżyć się do mnie, niech uściskam pana.

Ale wzajemny przyływ czułości nie nastąpił.

Talmudowski zerwał się na równe nogi, a z jego kolan spadł na podłogę gruby tom Plechanowa.

— Co za brednie? — krzyknął. — Jestem Talmudowski. Rodzice moi 30 lat mieszkają w Tyraspolu. Dopiero w ubiegłym tygodniu otrzymałem list od mojego ojca Talmudowskiego.

— To nie pański ojciec — powiedział starzec spokojnie. — Pański ojciec umiera tutaj, na sofie. Tak. Było to 20 lat temu. Spotkałem się z pańską matką w zaroślach nad brzegiem Dniestr. Matka pańska była czarującą kobietą.

— Do diabła! — wykrzyknął długonogi Talmudowski, przemierzając pokój tam i z powrotem. — To po prostu — świństwo!

— Mój pułk — ciągnął mściwy starzec — gwardyjski pułk jego ekscelencji króla duńskiego brał wówczas udział w wielkich manewrach. A ja byłem wielkim grzesznikiem. Mnie nazywano nawet — petersburskim donżuanem. Uwiodłem pańską matkę i oszukałem Talmudowskiego, którego pan niesłusznie uważa za swego ojca.

— To niemożliwe!

— Rozumiem, mój synu, pańskie wzrusze-

nie. To naturalny objaw. Obecnie hrabiemu, jak sam pan wie, żyć bardzo ciężko. Z partii oczywiście pana wyrzuci! Nie wolno jednak upadać na duchu, mój synu. Przewiduję, że pana wyleją również z uniwersytetu. A w domu pisywać będą o panu wiersze, tak jak napisano o mnie: „Co powiecie, dowiedziawszy się, że Talmudowski to był hrabia?”

Ale poznaję w panu, moje dziecko, szlachetne serce hrabiów Śródziemskich, szlachetne, śmiałe i pobożne serce naszego rodu, którego pan jest ostatnim potomkiem. Śródziemscy zawsze wierzyli w Boga. Czy pan chodzi do cerkwi, moje dziecko?

Talmudowski machnął ręką i z okrzykiem „do wszystkich diabłów!” wyskoczył z pokoju. Jego cień szybko przebiegł przez podwórze i zniknął w zaułku. A stary hrabia zaśmiał się cicho i popatrzył w ciemny kąt utworzony przez szafę. Śmierć nie wydawała mu się już taką straszną. Przyjaźnie porządkowała kosą i dzwoniła budzikiem. Na ścianie zapalili się znowu fosforyzujące słowa, ale słowa „Talmudowski” już nie było. Płonęły zielonym światłem tylko dwa nazwiska

Szkarłat, Prużański

W tym czasie rozległ się na podwórzu wesół głos: „Po morzach, po falach, dzisiaj tu — a jutro tam! Po morzach, morzach, morzach!”

To wracał do domu z karnawałowej zabawy nad rzeką wesół komsomolec Prużański. Jego wąskie białe spodnie lśniły w świetle księżyca. Spieszył się. W domu czekał na niego marynowany sandacz w okragłej blaszanej puszcze.

— Towarzyszu Prużański! — zawołał hrabia, uniósłszy z trudem ku oknu swoją kogiścią głowę.

— To ty — Wierko? — odezwał się komsomolec zadarłszy głowę ku górze.

— Nie, to ja, Śródziemski. Mam do pana interes. Niech pan wstąpi na chwilę.

Po pięciu minutach ugodzony w samo serce Prużański wiercił się w pokoju oświetlonym brązowym światłem. Tak się uwił, jak gdyby napadły go pszczoły. A stary hrabia podtrzymując ręką długi i miękki, jak sakiewka podbródek — opowiadał piynnie.

— Byłem wielkim grzesznikiem, mój synu. W tym czasie byłem wspaniałym oficerem gwardyjskiego pułku jego ekscelencji króla duńskiego. Mój pułk brał wówczas udział w wielkich manewrach koło Witebska. Tam spotkałem pańską matkę. Była to czarująca kobieta, chociaż Żydówka. Będę się streszczał. Ona zakochała się we mnie i już po 9-ciu miesiącach w biednym mieszkaniu krawca Prużańskiego, poruszyła się małutka czerwona bryłka. Tą czerwoną bryłką — był pan, panie Prużański.

— Dlaczego pan myśli, że tą czerwoną bryłką byłem właśnie ja? — płaczliwie zapytał Prużański. — To znaczy, chciałem zapytać, dlaczego pan myśli, że ojcem tej czerwonej bryłki był właśnie pan?

— Ta święta kobieta kochała mnie — dumnie odpowiedział umierający. — Była to czysta dusza, chociaż Żydówka. Opowiedziała mi, kto jest prawdziwym ojcem jej dziecka. Tym ojcem jestem ja. A tym synem — pan. Pan jest moim synem Jaszko, a nie Prużańskiego. Pan jest Śródziemski. Pan jest hrabią! A ja jestem wielkim grzesznikiem, mnie nawet w pułku nazywano oranienbaumskim donżuanem. Niech mnie pan uścisnie, młody hrabio, ostatnia latorość naszego wygasającego rodu.

Prużański był tak oszołomiony, że z rozpędu objął starego łajdaka. Potem opamiętał się i ze smutkiem powiedział:

— Ach, obywatelu Śródziemski! Dlaczego nie zabraliście tego sekretu ze sobą do grobu? Cóż teraz będzie?

Stary hrabia ze współczuciem patrzył na swego drugiego jedynego syna, pokaszlując i dając pouczenia:

— Biedne, szlachetne serce! Ile pan będzie musiał jeszcze przejść! Z komsomolą oczywiście — won! Mam zresztą nadzieję, że pan sam nie zostanie w tej wroglej d a naszej klasy korporacji. Z uczelni — won! I po co panu radziecka uczelnia? Hrabowie Śródziemscy zawsze otrzymywali wykształcenie w liceach. Uścisnij mnie, Jaszeńko, jeszcze raz! Czy nie widzisz, że ja umieram na sofie?

— To niemożliwe! — rozpaczliwie wykrzyknął Prużański.

— A jednak to fakt — zaoponował oschle starzec. — Umierający nie kłamią.

— Ja nie jestem hrabią! — bronił się komsomolec.

— Przeciwnie, jest pan hrabią!

— To pan jest hrabią!

— Obydwa jesteście hrabiami — zakomunikował Śródziemski. — Mój biedny synu. Przewiduję, że napiszą o panu wierszem: „Co wy powiecie, dowiedziawszy się, że Prużański — to po prostu hrabia?”

Prużański oddalił się pochylając się na bok i mamrocąc: „To znaczy, że jestem hrabią. Aj-aj-aj!”

Jego ogniste nazwisko zgasło na ścianie, a w pokoju unosiło się, jako straszny grobowy napis, tylko jedno słowo

SZKARŁATO

Stary hrabia pracował z podziwu godną dla umierającego energią. Zważył do siebie bezpartyjnego Szkarłata i wyznał mu, że on, hrabia, jest wielkim grzesznikiem. Stało się oczywistym, że student jest ostatnim potomkiem hrabiów Śródziemskich, a zatem sam jest hrabią.

— Było to w Tyflisie — zmęczonym już głosem plół Śródziemski. — Byłem wówczas oficerem gwardii...

Szkarłat wybiegł na ulicę zataczając się z radości. W jego uszach szumiało i wydawało mu się, że za nim po trotuarze wlece się biała szabla.

— To im się należy — zacharczał hrabia. — Niech nie pija wierszy.

Ostatnie nazwisko zniknęło ze ściany. Do pokoju wdario się świeże powietrze. Spoza słowiańskiej szafy wyszła śmierć. Śródziemski zaskomlał. Śmierć rąbnęła go kosą i hrabia zmarł z szczęśliwym uśmiechem na sinych wargach.

Tej nocy wszyscy trzej studenci nie nocowali w domu. Wałęsali się fioletowymi ulicami w różnych dzielnicach miasta, straszac swoim wyglądem nocnych drożkarzy. Miotali nimi różnorodne uczucia.

O 3-ej nad ranem Talmudowski siedział na krawędzi trotuaru i szepiał:

— Nie mam prawa moralnego zataić przed organizacją partyjną mego pochodzenia. Muszę pójść i ujawnić. A co powie Prużański i Szkarłat? Może nie zechcą nawet i mieszkac ze mną w jednym pokoju. Szczególnie Prużański. To gorąca głowa. Z pewnością nawet ręki mi nie poda.

O tej samej porze Prużański w wybrudzonych białych portkach krążył wokół pomnika Puszkina i z zapalem przekonywał siebie:

— W końcu — ja nie ponoszę winy. Jestem ofiarą miłosnej przygody przedstawiciela carskiego, na wskroś zepsutego reżimu. Hrabia nie chce być. Nie mogę jednak ujawnić tego. Talmudowski po prostu nie zechce ze mną rozmawiać. Ciekaw jestem, jak na moim miejscu postąpiłby Engels? Zginałem. Muszę zataić. Nie mogę inaczej. Oj-jej-jej! A co powie Szkarłat? Wcisnął się, powie, wtrącił się. Chociaż bezpartyjny, ale straszny aktywista. Ach, co on powie, dowiedziawszy się, że jestem byłym hrabią. Zataić, zataić!

W międzyczasie aktywista Szkarłat będąc wciąż jeszcze ogłuszony dźwiękiem niewidzialnej szabli, przechodził przez ulicę krokiem strzelca, wykrzykując dziarsko od czasu do czasu:

— Szkoda, że nie zostawił spadku! Wspomniał bohater! Ojciec mówił mi, że on posiada majątek w czernichowskiej gubernii. Ech, nie urodziłem się we właściwym czasie! Tam teraz na pewno sowchoz. Ech, naprzód marsz, czarni huzarzy — trąbka wzywa! Ciekaw jestem, czy wypiliłbym butelkę rumu siedząc na okiennym gzymsie? Trzeba będzie spróbować! Ale o niczym nie mogę opowiedzieć. Talmudowski i Prużański mogą z zazdrości wszystko zepsuć. Byłoby wspaniale ożenić się z hrabianką! Rano wchodzi sobie do buduaru...

Pierwszy przybiegł do domu Prużański. Drząc na całym ciele położył się do łóżka i skreślił w obwarzanek pod malinową koldrą. Dopiero co zaczął się rozgrzewać, gdy otworzyli się drzwi i wszedł Talmudowski o zszarzałym kolorze twarzy.

— Słuchaj, Jaszko — powiedział surowo. Co ty byś zrobił, gdyby jeden z nas okazał się synem hrabiego?

Prużański wydał słaby okrzyk.

„Ot i masz — pomyślał — zaczyna się”.

— Co ty byś jednak zrobił? — zdecydowanie nalegał Talmudowski.

— Co za głupstwa? — odpowiedział, straciwszy całkiem odwagę, Prużański. — Jacy z nas hrabiowie?

— A jednak? Co byś zrobił?

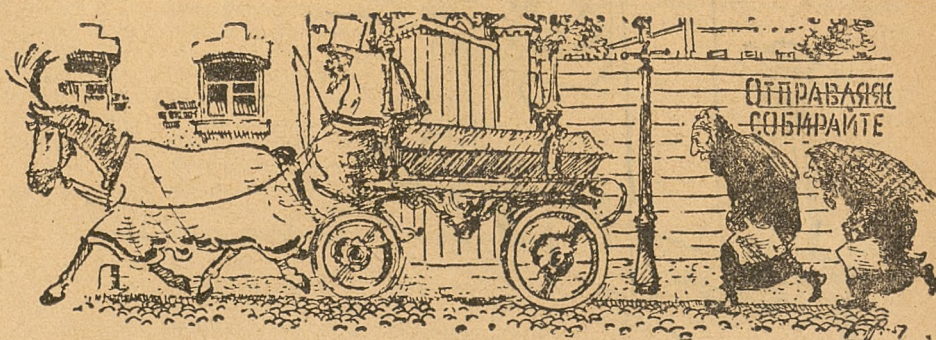
— Osobiście ja?

— Tak, osobiście ty.

— Osobiście zerwałbym z nim wszelkie stosunki!

— I nie chciałbyś nawet rozmawiać? — wystękał Talmudowski.

(Dokończenie na str. 10-ej)



[Dokończenie]

— Nie, nie rozmawiałbym. Za nic w świecie! Ale po co ta głupia rozmowa?
— To nie głupia rozmowa — pośpiesznie odpowiedział Talmudowski. — Od tego zależy całe życie.
„Zginąłem, zginąłem” — pomyślał Prużański skacząc pod koldrą jak mysz.

„Oczywiście, że mną nikt nie będzie rozmawiał — myślał Talmudowski. — Prużański ma absolutnie rację.”
I ciężko zwałił się na okrągłe, biskopowe siedzenie krzesła wiedeńskiego. Komsomolec całkowicie zniknął w załamanych koldry. Nastąpiło długie, nieprzyjemne milczenie. Nagle w przedpokoju rozległy się junackie kroki i do pokoju wszedł Szkarłato. Długo i pogardliwie oglądał pokój.

— Śmierdzi — powiedział wyniosłe. — Całkiem jak w domu noclegowym. Nie rozumiem, jak możecie tutaj mieszkać. Aristokrata stanowczo tutaj nie może mieszkać.

Słowa te dla obydwóch studentów były strasznym ciosem. Odniesli wrażenie, że do pokoju wleciał kulisty piorun i kołysząc się w powietrzu wybiera sobie ofiarę.

— Dobrze jest być właścicielem majątku — niewyraźnie powiedział Szkarłato, spoglądając wyzywająco na przyjaciół. — Opylić go i żyć z procentów w Paryżu. Jeździć na rowerze. Mam rację, Talmudowski? Jak ty myślisz, Prużański?

— Dość! — wrzasnął Talmudowski. — Powiedz, Szkarłato, jakbyś postąpił, gdyby się ujawniło, że jeden z nas jest zakonspirowanym hrabią?

Teraz przeląkł się i Szkarłato. Na twarzy wystąpił pomarańczowy pot.

— Cóż, chłopaki — zamruczał. — W ostateczności nie ma nic szczególnie strasznego. Nagle dowiadujecie się, że jestem hrabią. Oczywiście, trochę nieprzyjemnie... ale...

— No, a gdybym tak ja? — zawołał Talmudowski.

— Co ty?
— Gdybym ja okazał się hrabią?
— Ty — i hrabią? Śmiesz mnie to.
— Tak oto wiedz — jestem hrabią — rozpaczliwie powiedział członek partii.

— Hrabia Talmudowski?
— Nie jestem Talmudowski — odpowiedział student. — Jestem Śródziemski. Nie ponoszę żadnej winy za to, ale to fakt.

— To kłamstwo! — wrzasnął Szkarłato. — Śródziemski — to ja!

Dwóch hrabiów w oszatomieniu mierzyło się wzrokiem. Z kąta pokoju dał się słyszeć przeciągły jęk. To, nie wytrzymałszy męki oczekiwania, wypływał spod koldry trzeci hrabia.

— Jestem przecież niewinny! — wrzeszczał. — Czy to ja chciałem być hrabiowskim synkiem? Przygoda miłosna przedstawiciela na wskroś przegniętego...

Po 15-stu minutach studenci siedzieli na twardym jak korek materacu Prużańskiego i dokonywali wymiany doświadczeń na temat swego krótkotrwałego hrabiostwa.

— A o pułku jego ekscelencji króla duńskiego mówił?

— Mówił.
— Mnie również mówił. A tobie, Prużański?

— Oczywiście. Powiedział jeszcze, że moja matka, chociaż Żydówka — miała czystą duszę.

— A to stary lajdak! O mojej matce również zakomunikował, że to czysta dusza, chociaż i Greczynka.

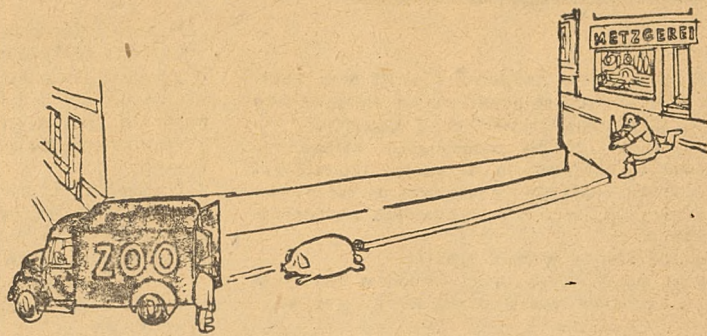
— Czy prosił o uściski?
— Prosił.
— A ty uściśnałeś go?
— Nie. A ty?
— Ja uściśnałem.
— Bałwan z ciebie!

Następnego dnia studenci zobaczyli przez okna jak wyniesiono w zaułek żółtą trumnę, w której spoczywało wszystko ziemskie, co pozostało po mściwym hrabim.

Posrebrzana jednokonna platforma zagrzmięła po jezdni. Zachwiał się na głowie pokornej kłacz generalski biały pióropusz. Dwie staruszki o surowym spojrzeniu podreptały za oddalającą się trumną. Świat uwolnił się od wielkiego intryganta.

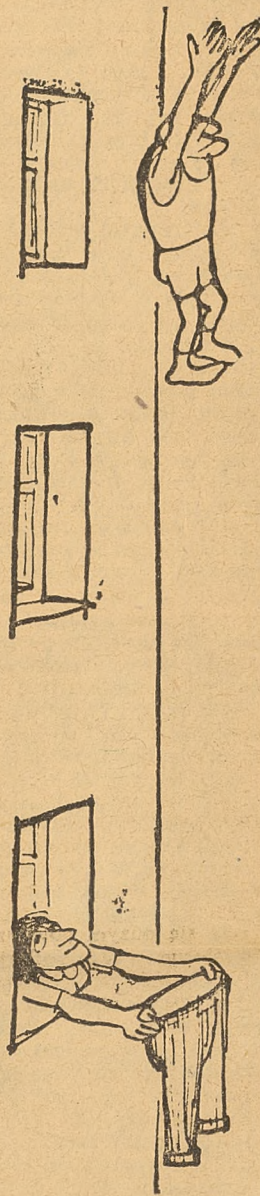
Thumaczył

MIKOŁAJ KUPLOWSKI



HUMOR

PARIS MATCH STERN QUICK



DOBRE ZROZUMIAŁA

Na Linii A—B spotykają się dwie przyjaciółki. Po przywitaniu jedna z nich mówi:

— Powiadam ci, droga Tereso, że gdy po raz pierwszy włożyłam nową suknię letnią, którą kupiłam w komisie, to wpadłam w ekstazę...

— O je! wykrzyknęła niespodzianie druga. — Ale to chyba da się wyczyścić?

CIEŻKA CHOROBA

— Jakże czuje się pani mąż?
— O, bardzo źle, proszę pani. Nie może zupełnie poruszać się.
— Czyżby to był paraliż?
— Nie kryminał.

BŁĘDY OJCÓW

— Czy wiesz, Jasiu, jak należy rozumieć to zdanie: „Błędy ojców mszczą się na dzieciach”?

— O, wiem bardzo dobrze! Ile razy tatuś napisze za mnie wypracowanie domowe, dostaję stopień niedostateczny...

NIEPOCIESZONA WDOVA

— Trudno, proszę pani... trzeba się zgodzić z wolą nieba. Mąż umarł, ale pozostawił pani syna jako pociechę po sobie...

— Ach! — wzdycha wdowa, zalewając się łzami — ale ten syn nie jest jego...

ACH, TE PRZYJACIÓŁKI!

— Wczoraj poznałam pewnego uroczego muzyka, który oświadczył mi, że mam najpiękniejszą figurę w Krakowie!

— Teraz postaraj się poznać rzeźbiarza, który ci powie, że masz najpiękniejszy głos...

WAŻNA OSOBA

— Chciałbym mieć dziś na obiad kotlet wieprzowy z kapustą.

— Zaczekaj, mężusiu do środy, gdy przyjdzie praczka, bo wtedy muszę coś porządnego ugotować...

I TAKI BYWA PECH!

Na ulicy rozmawiają dwaj przyjaciele o powodzeniu w życiu.

— Mój ojciec ma okropnego pecha — skarży się jeden. — Stale wstaje lewą nogą z łóżka i potem cały dzień nic mu się nie wiedzie...
— To po co wstaje lewą nogą?
— zapytuje drugi.
— No bo prawą stracił na wojnie!

KOMPLEMENT

— Pani jest co dzień młodsza i piękniejsza!
— Chyba pan przesadza!
— No to powiedzmy, co drugi dzień!

NIE ZASZKODZI SPRÓBOWAĆ

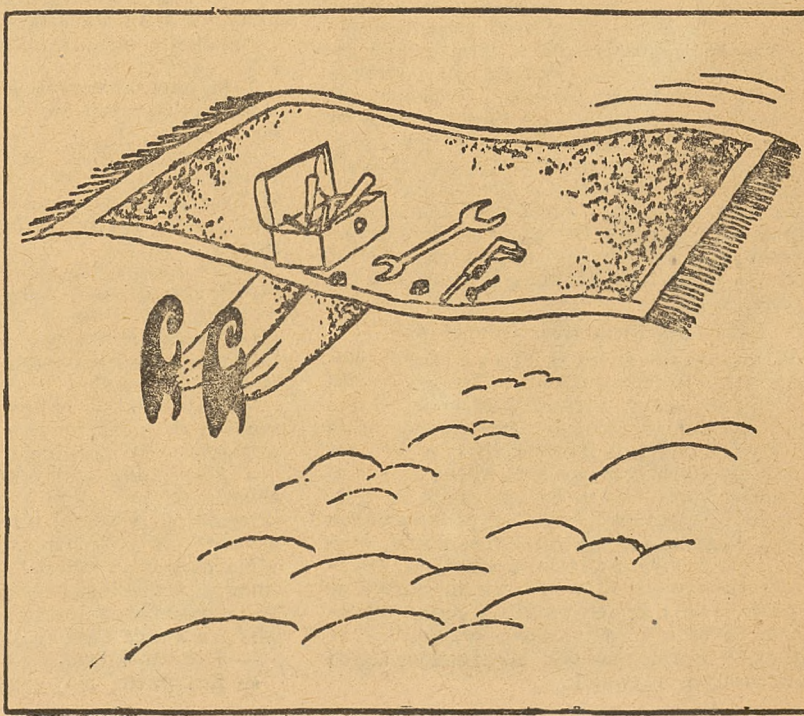
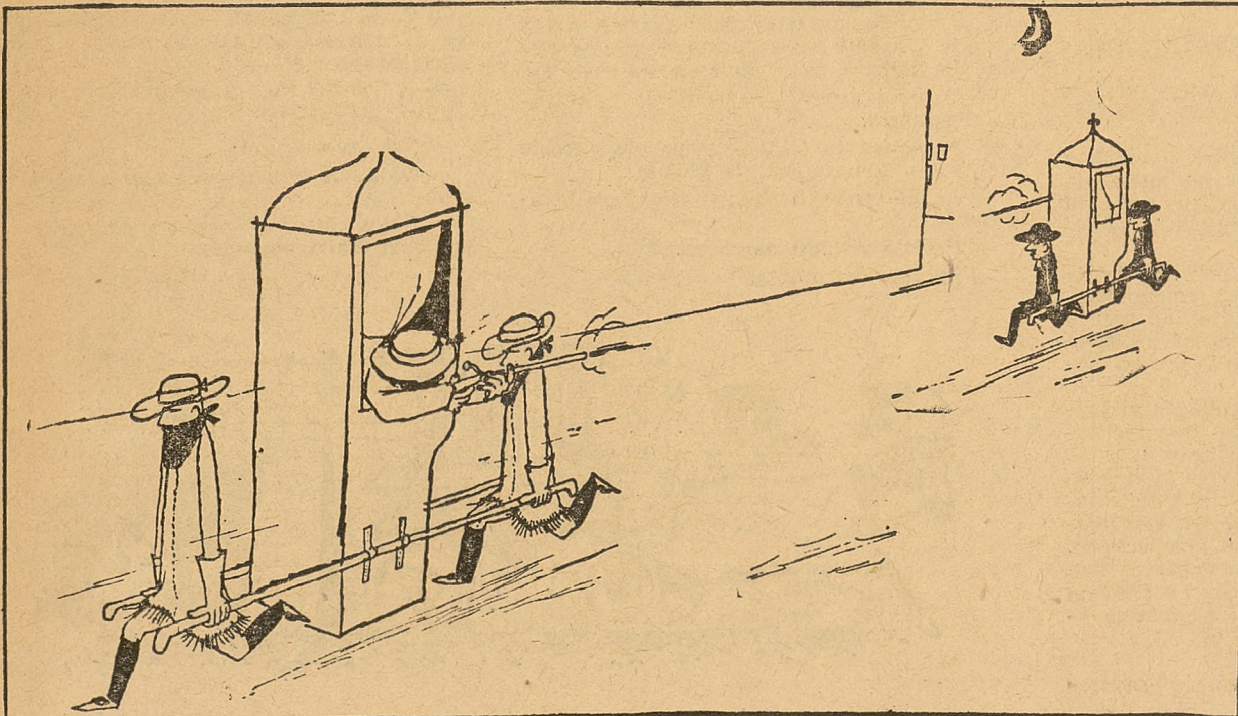
Pewien amerykański milioner, leżąc na śmiertelnej pościeli, zapytuje duchownego, który go pociesza w ostatnich chwilach życia:

— Czy ksiądz może mnie zapewnić, że będę zbawiony, jeżeli na kościół prezbiteriański zapiszę 25 tysięcy dolarów?

Duchowny zastanawia się długo i poważnie, po czym odpowiada:

— Gwarantować panu nie mogę, ale spróbować nie zaszkodzi...

Zebrał
T. J. W.





Odpowiedzi redakcji

Krakowianin. Sen ciekawy ale o powiedziany rymami zużyłoby naszych czytelników. Może przerobi go Pan na prozę...

Barbara Branson. Dąbrowa Tarnowska ul. Garbarska 8. Pani uwagi słuszne, ale spóźnione. Konkurs zamknięty. W przyszłości zastosujemy się do cennych uwag.

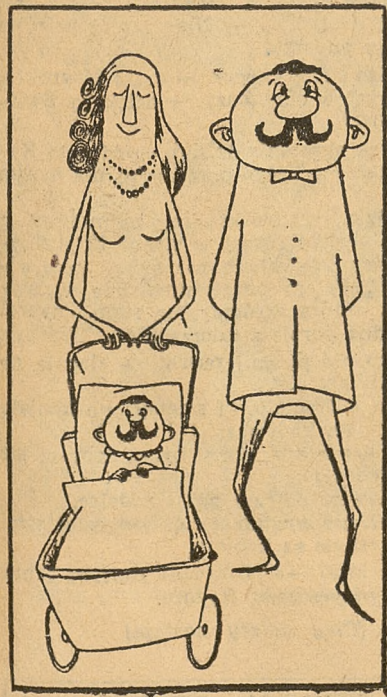
Bernard Gothe. Kraków, ul. Lud. Wojska Polskiego 32. Proponowany temat został ostatnio szeroko omówiony w prasie polskiej. Szersze opracowanie naukowe mogłoby zainteresować odcienie czasopismo. „Zdarzenia” jako pismo informacyjne nie może sobie pozwolić na poświęcenie uwagi w tak szerokim zakresie jednemu tematowi. Prosimy o inne propozycje z zakresu socjologii.

Jolanta Robak. Szczecin. Bylibyśmy bardzo wdzięczni za korespondencję znaną morza ale muszę to być tematy, które zaciekawią naszych czytelników. Odrzucamy wszystko co pachnie nudą, banalem, szablonem. A więc czekamy...

Jerzy Kruszyński. Kraków, Al. Słowackiego 58. Chcąc zapoznać czytelników z kierunkami plastyki, musimy reprodukcje prace najgłośniejszych reprezentantów. „ABC plastyki” cieszy się dużym powodzeniem. Jest to pierwsza tego rodzaju historia ujęta popularnie. Dla przeciwwagi dajemy jednak również „normalne” ilustracje.

Jan Wałęga. Kalisz. Notujemy w „Zdarzeniach” najważniejsze zdarzenia. Pragniemy, by pismo nasze odzwierciedlało w skrótach wszystkie dziedziny życia. Pańskie cenne uwagi będziemy próbowali wprowadzić do pisma w najbliższych numerach.

Ewa Dudek. Kraków, V Dom Akademicki. Przepraszamy za spóźnioną odpowiedź, ale czekaliśmy na ocenę materiałów, której dokonał jeden z literatów. Niestety, mylą się koleżanki wszystkie trzy w ocenie talentu swojej czwartej koleżanki. Są to poprawne wierszyki, jakich miliony młodzieży w pewnym okresie życia. Ma to nawet swój sens w rozwoju, dowodzi interesowania się życiem. A w ogóle to za dużo u nas poetów, a za mało praktycznych zainteresowań. Mamy nadzieję, że nasza szczerota przyczyni się do pogłębienia przyjaźni.



KTO WYLOSOWAŁ NAGRODY w plebiscycie filmowym tygodnika „ZDARZENIA”?

W dniu 26 VI odbyło się komisyjne losowanie nagród plebiscytu filmowego w redakcji „Zdarzeń”. Nagrody wylosowali następujący czytelnicy:

- 1) Janina Madeja, Chrzanów, Koniewa 40 (budzik),
- 2) Mieczysława Klima, p-ta Staniątki, pow. Kraków (budzik),
- 3) Zygmunt Jarosz, Kraków, Przybyszewskiego 33 (komplet łyżeczek),
- 4) Michał Wiesiołowski, Kraków, Krowoderska 55 (czajnik elektryczny),
- 5) Halina Józwiak, Zduniska Wola, Dolna 22/5 (ekspres do kawy),
- 6) Jan Morawik, Kraków 50, Jednostka Wojskowa 1254 (neseser toaletowy),
- 7) Stanisław Klamra, Kraków, Odrowąża 34/4 (neseser męski),
- 8) Eugeniusz Okrój, Gdańsk-Wrzeszcz, Plac Wybickiego (teczka skórzana),
- 9) Kazimierz Kąkol, Ogrodzieniec, pow. Zawiercie, Cementownia „Wiek 2” (portfel skórzany),
- 10) Bronisława Wilk, Kraków, Dąbrowski 8 (portfel skórzany),
- 11) Irena Korzeniak, Kraków, Mały Rynek 6 (portfel skórzany),
- 12) Janina Sułowska, Kraków, Bonifraterska 1 (portfel skórzany),
- 13) Kajetan Łabużek, Kraków, Asnyka 10 (portfel skórzany),
- 14) Alicja Kucharska, Nowy Targ, lotnisko (portfel skórzany),
- 15) Stanisław Szewczyk, Kraków, Jaracza 4 (portmonek),
- 16) St. Harbulewicz, Kraków, Wenecja 3 (portmonek).

Nagrody książkowe wygrali: Stefania Sobek, Żywiec, Krystyna Góralczyk, Kraków, Weronika Bielek, Kraków, Halina Jelonekiewicz, Kraków, Adam Ralfyński, Poznań, B. Knap, Kraków, Barbara Chelczyńska, Chrzanów.

Komplety fotosów artystek filmowych wygrali: Alicja Strózik, Kraków, Stefania Chadryś, Kalisz, Zbigniew Michałowski, Bochnia, Franciszek Walezy, Kraków, Danuta Wielonitek, Kielce, Julia Laskowska, Nowa Huta, Halina Wosiek, Nowa Huta, Elżbieta Abramowska, Krasnystaw, Luiza Weber, Nowa Huta, Iwona Doening, Kraków, Kazimierz Saługa, Jaworzno, N. Grzelak, Prabuty, Władysław Rzewski, Grywałd, Ewa Luzar, Kraków, Edward Wójcik, Nowa Huta, Maria Hruby, Tarnów, Danuta Urych, Nowa Huta, Paweł Chelkowski, Zakopane, Zofia Puszyńska, Subkowy pow. Tczew, Krystyna Bałata, Kraków.

Czytelnicy krakowscy proszeni są o zgłoszenie się po odbiór nagród w redakcji „Zdarzeń”. Zamiejscowym czytelnikom nagrody zostaną odesłane pocztą.

HISTORIA GRY LICZBOWEJ

(Ciąg dalszy)

Pierwsza loteria klasyczna została utworzona w Polsce w okresie Księstwa Warszawskiego 29 kwietnia 1808 roku. Składała się z pięciu klas o 12.000 losów w cenie po 120 złp. z główną wygraną 100.000 złp: Pierwszym dzierżawcą jej z ramienia księstwa był Wojciech Szwejkowski, po nim Antoni Noffok. Zaden z nich nie osiągnął spodziewanych zysków ani dla siebie ani dla skarbu państwa z powodu wypadków wojennych. Dopiero Petiskus i Döpler mieli szczęśliwą rękę. Döpler potrafił wypłacić skarbowi państwa za dwie tury roczne w r. 1827 — 300.000 złp oraz dla towarzysza dobroczynności 40.000 złp. Na główną wygraną przeznaczono wówczas 200.000 złp. Kolejny dzierżawca Salwjan Jakubowski odznaczał się dokładnością, sumiennością i umiętnością prowadzenia tego przedsiębiorstwa, zyskując sobie uznanie publiczności. Za jego kierownictwa główna wygrana osiągnęła 900.000 złp a przedsiębiorstwo kwitło wspaniale. W latach 1850 do 1862 skarb państwa inkasował od niego rocznie przeszło 800.000 rubli mimo, że ilość losów oraz wysokość wygranych uległa zmniejszeniu. Główna wygrana wynosiła zaledwie 50.000 rubli. Na te niepomysłne zmiany w głównej mierze wpłynął zakaz rozpowszechniania i sprzedaży losów poza granice królestwa czyli do cesarstwa rosyjskiego. Gra liczbowa uległa lokalizacji.

Od 1863 roku zarząd skarbowy zaniechał wydzierżawiania loterii i prowadził ją na własny rachunek. Odtąd też notuje się upadek gry loteryjnej. Pierwsze dwie loterie państwowe, a kolejno 101-sza i 102-ga miały po 17.800 losów, a następna 103-cia już tylko 14.000 losów.

Gra w loterię liczbową polegała na tym, że z 90 liczb każdy uczestnik wybierał od jednej do pięciu liczb. Kto typował tylko jedną liczbę (mógł typować jeden numer z warunkiem, że zostanie on wylosowany w odpowiedniej kolejności spośród pięciu ciągniętych ekstraktów determinato), ten stawia na tak zwany ekstrakt; kto stawia na dwie, ten obsadza ambo, na trzy-terno, na cztery — kwatarno i wreszcie na pięć — kwinterno.

Wielkość prawdopodobieństwa wygranej we wszystkich wyżej podanych kombinacjach da się matema-

tycznie bardzo łatwo obliczyć natomiast zysk przedsiębiorcy (względnie dzierżawcy) w ówczesnych czasach polegała na tym, że wypłacał szczęśliwym — nielicznym wybrańcom niższej stawki niż prawdziwe prawdopodobieństwo. A więc np. ambo powinno być wypłacone 400 i pół raza więcej niż wynosi pojedyncza stawka; tymczasem w Austrii, w której loterie liczbowe istnieją po dzień dzisiejszy, płacono zaledwie 270 razy więcej. W kwatarnie prawdopodobieństwo ma się tak, jak 1 do 511,038 i tam płacono tylko 60.000 razy stawkę. Obliczając sumarycznie dochodzą do wniosku, że przedsiębiorca zyskiwał na tej grze mniej więcej 33% zainkasowanej sumy. Z tego źródła Austria cignęła rocznie dochodu 40 mil. koron Węgry — do 7 mil. koron a Włochy przeszło 25 mil. lirów.

Epoka postępu technicznego wystrzela nad naszymi domami charakterystycznym rysunkiem anten telewizyjnych. O telewizji coraz głośniejsze w kraju, gdzie nie wszyscy jeszcze znają kształt zwykłego odbiornika radiowego. I całe szczęście! Wyrażam na tym miejscu opinię starych kibiców, którzy mają dość męczarni radiowych, więc mogą sobie umysłować, czym groziłoby powszechne posiadanie telewizorów!

Naturalnie, trzeba od razu wyjaśnić, że starzy kibice muszą słuchać radia, zwłaszcza w niedzielę, gdy dzwoni budzik wyrwyjający ich z zasłużonego snu o godz. 22-giej. Dźwięk budzika przypomina o zachwianej czujności. Oto czas nadawania wiadomości sportowych...

Kibice są również ludźmi pamiętajacymi o zagadnieniach ekonomicznych. Żyją na stopie prawdziwych sportowców-amatorów. Tzn. nie liczą na premie i dozwolanie, obracają się zatem w sferze wyrzeczeń. Szczególnie, jeśli są emerytami i rencistami.

Cóż tedy pozostaje? — A, no — niewiła na gra: Totek. Jej ekonomiczne znaczenie obejdzie się bez komentarza. Zamiast, żeby państwo sięgało do „drugiego portfela” i podwyższało zaopatrzenia dla wysłużonych, totalizator może spełniać tę samą rolę ku zadowoleniu obu stron. O ile, rzecz jasna, kibic-emeryt wygra. Zre-

Nasza poczta tygodniowa

„DLACZEGO NIE JESTEM CHULIGANEM”

„Jestem studentem 4-tej klasy gimn., synem ślusarza kolejowego — pisze w dojrzałym jak na młode lata liście Stanisław Kruk z Przemysła, ul. Bolesława Chrobrego — ojciec ciężko pracuje. Nie jestem chuliganem, nie piję, nie palę. Zawdzięczam to swoim rodzicom, którzy mnie odpowiednio wychowują. Dobry przykład widzę w ojcu, który nie pije, nie słyszę awantur”.

Nasz czytelnik ustosunkowuje się do sprawy Łojasa i uważa, że nie wysokimi karami, biciem i więzieniem poprawimy sytuację lecz metodami wychowawczymi. „Wódka to szczególnie straszna rzecz: tysiące sierot, wdów, to przepełnione więzienia”.

Oponuje przeciwko tym, którzy widzą jedyny ratunek w chłoscie, wieszaniu, biciu. To język okupantów i nie wolno po niego sięgać”.

Redakcja jest przekonana, że większość młodzieży polskiej tak myśli, jak Stanisław Kruk. Prosimy o dalsze listy na poruszone tematy.

APEL DO SERC LEKARZY

Jedna z naszych czytelniczek (nazwisko znane redakcji) prosiła nas o radę w sprawie choroby zwanej miażdżycą. Trudno nam tą drogą leczyć tak poważną chorobę. Ale czytelniczka nie ustępuje i ma rację. Lekarze zbywają naszą czytelniczkę neocardiną. Chciałaby wiedzieć, co powoduje miażdżycę, jak się ją leczy. Przechyła wojenne nadwyrężyły serce. Mimo kompletnej samotności nie czuje się nieszczęśliwą, gdyż dopiero teraz rozumie sens życia. Chce być zdrową... Redakcja „Zdarzeń” apeluje do świata lekarskiego o zajęcie się chora w sposób jak najbardziej poważny. Służymy adresem na żądanie. Prosimy o zatelefonowanie pod numer 203-67.

ENTUZJASTA „LAJKONIKA”

Pan inż. T. J. z Krakowa wygrał paraset złotych w Lajkonika, a że pieniądze spadły mu jak z nieba,

więc nie posiadał się ze szczęścia i w przystępie entuzjazmu napisał wierszyk do redakcji „Zdarzeń”.

Zaczyna się on tak:

Nie jestem wcale mizantropem
Radości życia wartość znam
I podnieść chciałbym życia stopę
Wszak Peryklesa przykład mam.

Nie wierzy jednak, czy doczeka chwili, w której usunie się z tamującej drogę do dobrobytu. Nie bez dozy ironii kończy swój wierszyk:

A no, by paszę złą przełamać,
Gdy już nadzieja złudna znika
Nie będę kreć ani kłamać
Ja wierzę tylko... w „Lajkonika”

Nie przesadzajmy jednak z tym „Lajkonikiem”. Nie taki on szczęśliwy jak go malują.

MIŁOŚĆ ZBLIŻA NARODY

„Niech żyje dekada polsko-litewska. Zdziwi Was zapewne, skąd ten entuzjazm? — pisze p. W. Krawczyński, Kraków, Sienkiewicza 8/15. O półtora roku temu wróciłem po kilkunastoletnim pobycie w ZSRR jako repatriant do kraju, przywożąc z sobą gratisowo małżonkę litewskiej narodowości. Nie muszę chyba dodawać, że moja „druga połowa” wychowana między złocymi łanami Litwy i pod jej lazurowym niebem szalenie teskni ze swa ołczyzna, mowa i wszystkim, co tylko można nazwać litewskim”.

W dalszym ciągu listu czytelnik opisuje, jak to ucieszyli ich wiadomości o dekadzie polsko-litewskiej. Srodze się jednak zawiedli. Na rynku nie pojawiły się książki litewskie „A przecież w Krakowie jest sporo osób znających język litewski. Może mój głos dotrze do odpowiedniego źródła i przyczyni się do naświetlenia odpowiedniego kławisza, by ta sprawa zagrała”.

Organizatorzy dekady! Jak widziacie, nie chodzi o mowy, przyjęcia, lecz o tak proste sprawy, jak sprowadzenie książek. Wtedy dekada spełni najlepiej swoje zadanie. W Warszawie urządzono wystawę książki litewskiej ale można je tylko oglądać...



Czystka ex - sportowa

PIĘKNA SZTUKA CZYTANIA

sztą, i złudzenie także ma swoją wartość w pozaplanowej gospodarce.

Ale — do rzeczy! Skoro kibice dysponują niekiedy z okresu przed emeryturą radiem lub detektorem — celem umilenia im chwil starości i osamotnienia, — to Polskie Radio nie ma żadnych względów dla powagi ich lat. Dokarmianie społeczeństwa satyrą, jest wdzięcznym uzupełnieniem działalności dystrybucji w zakresie aprowizacyjnym. Starają się o to, jak mogą — speakerzy radiowi.

Od pewnego czasu coś zakłóca odbiór audycji. Co? — Speakerzy rozgłosili warszawskiej... Jeden kibic już umarł. Usłyszał bowiem, że jego przewidywania wszystkich wyników — sprawdziły się tak, jak typował. Wyobraźcie sobie, co czuł wówczas posiadacz owych tysięcy, czekających na wypłatę! Nie słuchał już wiadomości do końca. W poniedziałek ranliutki pobiegł po gazetę. Czytał ją wielokrotnie w podnieceniu. Kupił drugą, trzecią — myślałby kto, że wskrzesza Dni Oświaty Książki i Prasy. Ale, gdy przeczytał wszystkie sprawozdania sportowe — westchnął jedynie — i umarł... po prostu speaker radiowy pomylił się wczoraj...

Więc ja, który nie gram w totka licząc na podwyżkę renty, piszę — bo chcę jeszcze żyć: — niedobrze, kiedy speaker nie umie mówić, lecz całkiem źle, gdy

nawet czytać nie potrafi. Na Boga, jesteśmy przecież narodem, który jak żaden — przyzwyczaił się do czytania i a każdej mowy z kartki...

Tak, proszę radia, udręka kibiców trwa od wielu tygodni. Zapowiadacze wiadomości sportowych mylą się, jak dotąd, konsekwentnie. Przekraczają fakty na stadionach, nazwy drużyn, mieszają różne dyscypliny sportu oraz przeżywają znaczne trudności z wymową w obcych językach. W najlepszym wypadku dostają chrypkę — i wylaczają się. Wtedy przynajmniej ratuje ich cisza. Lecz wnet ci nadgorliwcy nadrabiają stratę czasu...

INWOKACJA:

Najmilsi, zlitujcie się! Skoro jesteście analfabetami sportowymi (trudno, kibice i to przeżyją) — poproście f a c h o w c ó w, niech oni was zastąpią! — Albo: nauczcie się poprawnie czytać... Myślę, że m. in. tych kwalifikacji można od was żądać. Tertium non datur.

Jak to dobrze, że nie stać mnie na telewizor. Mógłbym zobaczyć wasze twarze — i wtedy pomyślałbym, że programowo wprowadzana f a c h o w o ś ć w naszym popাড়dzianikowym życiu — jest tak zmyślona, jak zmyślone wiadomości sportowe przekazywane za waszym pośrednictwem słuchaczom...

JERZY BOBER

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY

bez PANA WŁADZIA

(4)

Kamaszowski korzystając, że został sam na sam z Madym, rzekł po cichu.

— W sobotę dostarczę ci nową partię. Ile potrzebujesz?

Madym przykniął oczy nie wypuszczając fajki z kąta ust.

— Jakies pięćset, sześćset.

Kamaszowski położył rękę na jego dłoni.

— Zrobione. W sobotę. A teraz idę do gości. Nie chcesz na razie zatańczyć?

— Zharowany jestem. Miałem dzisiaj ciężki dzień. Jakies operacje, masę pacjentów...

— Tak, ty masz robotę. Nie zazdrościsz. Ale zarabiasz...

Madym uśmiechnął się z dziwnym grymasem.

— Zarabiam. Muszę ci powiedzieć, że mam już tego wszystkiego dosyć. Pieniądzy, pracy, zmęczenia. Chętnie odstąpiłbym to komuś.

Marzę, aby wyjechać, odpocząć, nie widzieć nikogo na oczy. No, cóż z tego, że mam pieniądze, że kupię jeszcze trochę więcej dolarów, że mam mieszkanie, antyki, obrazy słynnych malarzy. To wszystko przestało mi już sprawiać radość. Nie widzę perspektyw przed sobą. Jeszcze gdybym mógł wyjechać stąd na rok, na dwa, powłóczyć się po świecie, wrócić z nowymi siłami, może to jeszcze dodałoby mi bodźca do życia. A tak — rozłożył beznadziejnie ręce — śpię na gorze złota i nic z tego właściwie nie mam.

— Jedź za granicę.

— Nie puszczają mnie.

— Ciebie, profesora Akademii? Żartujesz?

— Nie puszczają. Uważają, że jestem potrzebny tutaj w kraju, pomijając już powody polityczne.

— No tak, trudno o drugiego takiego specjalistę. Boją się, żebyś nie wybrał wolności.

— Ja? — skrzywił się Madym. — Gdybym wiedział, że nie wolno mi powrócić do kraju, palnąłbym sobie w łeb. Człowiek jest zdeterminowany swoim miejscem urodzenia i jak pies wraca na swoje miejsce.

— Masz słuszość. Jąbym też nie potrafił wytrzymać tam długo. Ale chętnie bym wyprysnął. Otworzyłbym tam jakiś sklep, fabryczkę, zbił trochę forsy i wrócił. Rozumiem cię — Kamaszowski westchnął współczująco. — Ale musisz uciekać. Obowiązki gospodarskie. Pamiętaj, w sobotę.

Madym skinął głową i zagłębił się w fotelu. Ktoś puścił radio i amerykański jazz napelniał pokój egzotycznym rytmem.

— Panie inżynierze — Koniecznyński zwrócił się do Linkowskiego który przechodził obok — niech nam pan powie co ciekawego. My tu z panem rozmawiamy o literaturze — wskazał na Żyberskiego, siedzącego przy nim. — Co pan sądzi o tym co się dzisiaj pisze?

Linkowski lubił gdy zwracano się do niego, aby wyraził swoje zdanie. Odpowiadał wiedzą autorytatywnie i czuł, że imponuje swą wiedzą i odczytaniem. Przystanął więc i uśmiechnął się.

— Mówicie o tej pisaninie, bo trudno chyba to co ukazuje się na półkach księgarskich nazwać literaturą. No, cóż. Czytam.

— Coś przecież trzeba czytać — rzekł Koniecznyński pragnąc podkreślić tym, że czytanie obecnie nie jest przyjemnością, lecz po prostu przyzwyczajeniem, dla kulturalnego człowieka.

— Czytam, — pokiwał głową Linkowski — i naprawdę zastanawiam się, do czego to dojdzie. Kiedyś Flaszka, czy jak on się tam nazywa, napisał artykuł przeciw schematyzmowi. Odważny. Dał odprawę komunistom aż mi się ciepło zrobiło na sercu. Pomyślałem sobie: No, nareszcie...

— Flaszka. Flaszka, nie przypominam sobie — zamyślił się Koniecznyński.

Linkowski ruchem ręki pokazał mu że nie warto się zastanawiać.

— I dwa czy trzy tygodnie temu czytam w „Życiu Literackim”...

— Tak, jest takie pismo — potaknął Żyberski, aby tym przynajmniej stwierdzeniem doskoczył do poziomu rozmowy.

— Czytam artykuł tego samego Flaszka, czy jak on się tam nazywa w którym strasnie bije się w piersi tłumacząc się, że tak źle nie myślał jak go powszechnie rozumiano. Pojmujecie panowie, chłop się przestraszył. I, pisze, że wcale nie atakował założeń socrealizmu, wcale nie, tylko atakował wulgaryzację, wypaczenia. Ale socrealizm, broń Boże. Widzieli panowie. Złamał chłopca. Wycofał się. Jak ten ich Putrament krzyknie to zaraz robi się cicho i wszyscy spuszczaają nosy na kwintę. Tak wygląda nasza literatura.

— Ale Kisiel się nie boi! — rzekł Koniecznyński — kapitalne są jego felietony.

— Kisiel prosię pana też służy propagandzie — oznajmił Linkowski z pewnością siebie. — Kisiel? — twarz Koniecznyńskiego wyrażała powątpiewanie.

— Tak, proszę panów. Przecież on drukuje tylko to, co mu przepuści cenzura. A cenzura nie puścił nic co jest przeciw reżymowi. To jasne. To co wydrukował Kisiel jest tylko pozornie anty. W rzeczywistości służy...

— W takim razie wszyscy jakoś służy — oświadczył Koniecznyński nieprzekonany wywodem inżyniera.

— Nie, proszę pana. Wprawdzie pracuję w państwowym przedsiębiorstwie, biorę państwowe pieniądze, jakie to inna sprawa, ale biorę. I nikt mnie chyba nie posadzi abym sprzął temu co się dzieje. Pan panie mecenasie zna moje przekonania.

Koniecznyński skłonił się z powagą.

— Ale sprawa Kisiela to inne zagadnienie. My, ja ani pan jako adwokat nie pracujemy dla propagandy. Ja pracuję żeby odbudować kraj. Moja praca jest pożyteczna bez względu na rząd, ja pracuję dla narodu, dla dobra społeczeństwa. Oni pracują aby nam zamyslić oczy. I to jest różnica, moi panowie, wielka różnica — podniósł do góry palec.

— Tak, to prawda — rzekł Koniecznyński — ja bronię uciśnionych, staram się wymanewrować ich z gąszczy ustaw, które są przeciw człowiekowi.

— A zatem? — Linkowski rozłożył ręce — zgadza się pan mecenas ze mną?

— Poniekąd tak.

— Dawniej byli pisarze którzy potrafili wynaleźć takie metafory, takie symbole które pod pozorem bajki czy zgola błahego wydarzenia mówiły o rzeczywistości, pokrzepiały na duchu, były czytelne dla wszystkich prócz władz oficjalnych. A dzisiaj? Karmią nas dzieciennymi bajkami bez jakiegokolwiek próby kamuflażu. I każą nam w to wierzyć.

— Może teraz cenzorzy są inteligentniejsi? — wtrącił Żyberski.

Linkowski położył mu rękę na ramieniu.

— Mój panie. Dawniej pisarze pisali z wewnętrznej potrzeby, pisali z jakimś patriotycznym celem. Dzisiejsi, to sami zawodowcy. Zarabiają.

— Tu pan ich broni — zaśmiał się Koniecznyński.

— To są też ludzie i chcą jako tako żyć. A że nie potrafią nic lepszego napisać, zarabiają jak umieją. A czym więcej chwala tym więcej zarabiają. Nie mam do nich o to żadnej pretensji.

— A gdzie moralność, panie inżynierze? — zawołał Koniecznyński — my wymagamy od nich pewnych pryncypialnych zasad moralności. Oni kształtują moralność naszych dzieci...

— Pan ma dzieci? — spytał zdziwiony Linkowski.

— Ja? Nie mam. Ale inni mają. Przecież tu nie chodzi o mnie. Mam na uwadze cały nasz nieszczęśliwy naród. Dzieci zaczynają recytować WKPB jak katechizm. Do czego to dojdzie?

— Tak, dzieci są szczególnie nieszczęśliwe. Czy pan ma dzieci — Linkowski zwrócił się do Żyberskiego, po prostu przez grzeczność, gdyż wydawało mu się że adwokat nie dopuszcza go do głosu.

— Troję, proszę pana inżyniera.

— I jakie jest pana zdanie na ten temat?

Żyberski początkowo zacukał się, bąknął coś niewyraźnego pod nosem, ale widząc że obydwoj jego towarzysze czekają na to co powie rzekł po krótkim namyśle.

— U mnie w domu, wiecie panowie, specyficzne warunki. Żona religijna, teściowa ma też zasady, a ja uważam że nie powinno się podważać tego co dzieci uczą się w szkole. Bo jak inaczej. Ani szkoła nie będzie miała autorytetu ani dom.

— Na czymś musi pan zabazować — przerwał mu Koniecznyński.

— Ja wiem — odpowiedział nieśmiało Żyberski — tylko że żona i teściowa...

Linkowski szukał wzrokiem żonę i odnalazł ją w drugim kącie pokoju. Siedziała na krześle i flirtowała z Zembrzeskim, który stał koło niej i żywo gestykulował. Nie miał nic przeciwko jej flirtowi, a już najmniej przeciw flirtowi z Zembrzeskim, którego uważał za bęwała, nie mającego żadnych szans u kobiet. Nie znosił tylko gdy piła wódkę.

Wstawił, zdolna była do ekscesów, o których później długo opowiadano w kawiarniach. Nie tak dawno przecież na urodzinach Jolki zadarta spódnicę i nacierała rozlanym koniakiem uda, pokrzykując, że dopiero po tym zabiegu mężczyźni nie dadzą jej spokoju. A u Madymki wyszła z łazienki w białej i tańczyła solo pośrodku salonu. Linkowski bardzo cenił się i chociaż przyjaciele zapewniali go, że Maryjka nie zrobiła nic takiego, że ma temperament i doskonale umie się bawić — doszły do niego pewne głosy na ten temat i nie trudno było w nich wyczuć pewną dozę ironii. Postanowił więc pilnować jej i nie dopuszczać do tych pijackich ekstrawagancji. Teraz nieco uspokojony i zadowolony, że jego interwencja odniosła swój skutek, powrócił do rozmowy.

— Panowie mówiliście — wyczekał aż jego partnerzy się wypowiedzą — o dualistycznym wychowaniu młodzieży. Na to nie ma rady. My będziemy wychowywali dzieci tak, jak nas wychowywano, w miłości do naszej historii i tradycji, w szacunku dla rodziny.

— O, o to właśnie chodzi, — zgodził się Koniecznyński, — dziecko niech się uczy, ale obowiązkiem rodziców jest prostować jego ścieżki. Ze szkoły niech tylko korzysta w kwestiach zasadniczych i bezspornych. Moralność i światopogląd musi wpoić mu rodzina. W ten sposób uchronimy nasze młode

pokolenie od tych wszystkich — tu ściszy głos — komunistycznych ideologii.

— A czy dzieci nie tracą w końcu orientacji co dobre a co złe? — powiedział Żyberski.

— Nasze dzieci, proszę pana, nie! — oświadczył Koniecznyński. — Wprawdzie nie mam dzieci, ale znam polskie rodziny i mogę śmiało odpowiedzieć: nie!

— Co nie? mecenasiku! — spytała Lilka, uchwytywszy się ramienia Linkowskiego.

— A rozmawiamy o szkole! — wyjaśnił Linkowski.

— Fiu, Zapomniałam, że panowie intelektualści. Bardzo lubię intelektualistów. Znaczący Zaczeka?

— Tego aktora?

— Boski. Kocham się w nim od dawna. Cudny. Prawda, że cudny. Inżynierku?

— Przystojny.

— A mnie się szalenie podoba. Jada obiady u literatów na Krupniczej. Kiedyś tam zaszłam, bo szukałam tego... no... — strzepnęła palcami, nie mogąc sobie przypomnieć nazwiska, — no tego literata, co napisał o tym... no... zresztą to nieważne. Patrz, siedzi Zaczeka, elegancki, toczy wzrokiem po kobietach. Piękny chłopak. Przedstawcie mi go.

— Nie znam go, — rzekł Linkowski.

— Jak tak mówisz, przypomina mi się jeden dowcip.

— E, dowcip, — Lilka zrobiła znużoną minę.

— Posłuchaj, doskonały. Facet wyszedł z pewnego lokalu pijany.

— Czy to ma być aluzja? — pogroziła mu Lilka.

— Naturalnie, że nie. A więc wychodzi i mówi: „Wychodzę i wsiadam do auta. Ale jakież to dziwne auto. Karoserii nie ma, kierownicy nie ma, kół nie ma, motoru nie ma, tylko stoi jakiś gość i bije mnie w mordę.”

Żyberski nie bardzo rozumiał, o co idzie w tym dowcipie, lecz zaśmiał się razem z wszystkimi.



Według GROSZA

Służąca Franja pokazała na migi Zuzie, by wyszła do przedpokoju. Kamaszowska przebiegła przedpokojem, który nie opuszczał jej teraz ani na chwilę i wyszła. W przedpokoju zobaczyła Mazurkiewicz, który czekał się przed lustrem. Uśmiechnął się do niej, ukazując swoje ładne zęby. Serce Zuzi skoczyło do gardła. A więc przyszedł. Nie zawiodła się. Podała mu rękę.

— Co się stało, że tak późno?

Mazurkiewicz szybko schował grzebień i ucałował jej rękę, długo przetrzymując ją w swojej dłoni. Zuzą kątem oka zauważyła, że służąca przygląda się im w drzwiach kuchni.

— Przepraszam, szalenie przepraszam, tak mi przykro, ale nie mogłem. Musiałem wyjechać sprawa się przeciągnęła i dopiero teraz widząc, że u państwa się jeszcze świeci, ośmieliłem się wpaść. Nawet kwiatów nie zdążyłem przynieść. Proszę mi wybaczyć.

— Wszyscy pytali się o pana. Uciesza się, gdy pana zobaczą. A szczególnie kobiety — powiedziała kokieterijnie.

— A pani?

Służąca stała nadal na progu kuchni, Zuzą czerwona z wrażeń z powodu Władka i zła na służącą powiedziała uprzejmie stłumionym głosem:

— Jako gospodyni zawsze cieszę się, gdy mili goście nie zapominają o naszym domu. Proszę — wskazała na drzwi do jadalnego.

— Mam małą prośbę. Czy mógłbym umyć ręce. Po podróży nie mogę się tak pokazać — wyciągnął przed siebie dłonie, istotnie zbrudzone jakimś smarem.

Zuzą otworzyła drzwi od łazienki i wpuściła tam gościa. Sama podbiegła do służącej.

— Co to za wystawianie tutaj? Mało Franja ma roboty? Proszę w tej chwili zabrać się do roboty.

Służąca bez słowa podreptała w kierunku pieca kuchennego i Zuzą energicznie trzasnęła za nią drzwiami.

Kiedy Mazurkiewicz wyszedł z łazienki, Zuzą czekała na niego w końcu przedpokoju.

— Władziu — szepnęła, z trudem przełykając ślinę. — Czemuś taki niedobry.

Mazurkiewicz rozejrzał się, ale uspokojony, że nikt ich nie usłyszy, w pośrodku bowiem panował gwar, przerywany wybuchami śmiechu, objął ją w pól.

— Nie mogłem, Zuziśko. Wiesz, że ja zawsze pierwszy do ciebie, ale dzisiaj tak się fatalnie złożyło.

— Masz takie zmęczone oczy — powiedziała tężając w jego ramionach.

— Twoje oczy natomiast błyszczą jak gwiazdy.

— Kochasz mnie?

— Zuziśko, jeszcze ktoś wejdzie tutaj. Kamaszowska wzięła go za rękę. Zrobił parę kroków. Przed jadalnią jeszcze raz błagalnie spytała:

— Kochasz?

Skinął jej głową i otworzył drzwi.

— Asa! — rozległ się krzyk tych, którzy pierwsi ich doszłzegli. Mazurkiewicz witał się z uśmiechem, potrząsając dłońmi przyjaciół. Musiał znowu wyjaśnić powód swego spóźnienia. Goładzką przypadł do niego ze szklanką wódki.

— Wychłaj to Władziu.

Madymka uśmiechnęła się porozumiewawczo do Zuzi, która odpowiedziała jej radosnym uśmiechem.

Mazurkiewicz zamaczał usta w wódecie i zaraz odstawił szklankę.

— Musi pan coś zjeść — zakrzętnęła się Zuzą, — zaraz przyniosę — pobiegła do kuchni.

— Możemy co zrobić? — powiedział Bałgowski, naśladując rękami tasowanie kart.

— Nie! Nie! — krzyknęła Lilka i Jolka. — Dopiero co przyszedł i zaraz do pokera. Nie zgadzamy się.

— Patrz, jak się babki ożywiły, — zauważył Koniecznyński do Zembrzeskiego. — Ten Władziu robi furorę.

— Lecą na niego. Umie widocznie trajlować Ma takiego nędznego Opelka, a wszystkie chcą się wozić tylko z nim.

— Nie ma to jak twoja beema, co?

Zembrzeski wydał pogardliwe wargi.

— Co one się znają na tym. Moja beemka też ma niejedno za sobą.

— Wziąłbyś go na szosie?

— Nie istnieje przy mnie.

— Rzuciliby już te amory. Zagrąlibyśmy w pokera. A ty?

— Z Mazurkiewiczem? Słaby gracz. Kiedyś tu przegrał do mnie parę złotych.

— Jak przegrywa to dobry partner.

— Wysłada. Przy większej puli musi wygrać. Nie ma pieniędzy. A przegrać, wygrać tysiąc złotych to nie opłaca się w ogóle stać do gry.

Zuzą przyniosła butelkę koniaku, talerz i sztućce za nią służąca dwa pełne półmiski i pudełeczko kawioru.

— Kawior! — ryknął Goładski. — Władziu szczęściarzu, dawaj no ten kawior.

Zuzą udawała, że nie słyszy Goładzkiego i podsunęła pudełko Mazurkiewiczowi. Sami też nalali mu koniaku do czystego kieliszka.

Mazurkiewicz podziękował jej błyskawicznie.

— Głodny jestem, przyznaję. Co słychać? Powiedzcie, nie tylko chlebem człowiek żyje. Jest coś nowego?

— Nagadaliśmy się już do znużenia, — odparł Kamaszowski, — powiedz lepiej, co u ciebie?

— U mnie stara bida. Jeżdżę i uczę. Nie mam już siły do tych wsiózków. Nie rozróżniają sprzęga od ogona krowy.

— Rzeczywiście masz okropne zajęcie. Dałbyś sobie już z tym spokój — poradziła mu Jolka.

— Ncszę się z tą myślą, — odrzekł pomiędzy jednym a drugim kęsem. — Ale z czegoś muszę przecież żyć.

— To najlepszy dowcip wieczoru, — zawołał Zembrzeski, — brawo Władek.

Mazurkiewicz spojrzał na niego chłodno.

— Nie pojmuję twojej wesołości.

Telo klepnął go po ramieniu.

— Nic, nie, pożartować mi wolno.

— Niechże pan je, — ponagliła go Zuzą, — nie przeskadzajcie, przecież pan Władek jest głodny.

— Władziu, dasz ten kawior czy nie? I bez niego radzisz sobie z babkami, — krzyczał przez stół, Goładski. — Nie zezresz przecież sam całego pudełka.

— Bardzo lubię kawior, — rzekł Mazurkiewicz, patrząc w oczy Zuzi, — dziękuję. Świętym majonez!

— Ot, tak skromnie dzisiaj, — odparła Kamaszowska, — nieczego porządnego nie można dostać.

— Władziu, zostaw kawior, bo mnie szlag trafi, — Goładski ruszył w stronę Mazurkiewicza, który udawał, że nie słyszy jego pokrzykiwań. Potem beceremonialnie wzięwszy łyżkę, którą dostrzegł na stole, nabrał sobie solidną porcję z talerza Mazurkiewicza.

— Tylko nie połknij puszek, — złapała go za ramię Lilka.

Goładski odrzucił ją i sięgnął po koniak. Nalał sobie do kieliszka.

— Twoje zdrowie, stary byku, żeby ci się dobrze chędożyło.

Mazurkiewicz odłożył nóż i widelec.

— Paweł, nie wyglupiaj się. Nie jesteś sam. W towarzystwie są kobiety.

— Idź, idź, — Goładski zmierzwił mu starannie przeczesałą fryzurę.

(Ciąg dalszy nastąpi)